CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

Uniwersytet Gdański Biblioteka
0201

NUMER 18 (75) — KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN, DNIA 4 MAJA 1947 ROK — ROK III

WILHELM SZEWCZYK

Dzieje pewnej legendy

„Demokratyczne" *) Niemcy w dziedzinie literackiej rozpoczęły się m. in. od pewnej legendy. Legendzie tej na imię: niemiecki ruch oporu. Ruch oporu, w którym pisarze mieli brać dość żywy udział i któremu pisarze dziś nadają w swoich dziełach artystyczny kształt. Właściwie to głównym autorem tej legendy jest Günter Weisenborn, on ją po wojnie namiętnie wykłada, tłumaczy, głosi. Pisarze niemieccy sami bowiem odczuwają przykrość sytuacji, w jakiej się na skutek emigracji znaleźli, która umożliwiała jedynie walkę na odległość, walkę na słowa. Bez walki z granatem w ręku w tak prawdziwej wojnie, jaka wstrząsała Europą, nie ma prawdziwej walki. Do walki słowa dodano zatem walkę pięści. Jest niemiecki ruch oporu czystym wytworem literackim i dlatego rozważać go należy jako zjawisko literackie a potem dopiero polityczne. Zresztą politycy niemieccy zrazu sami nie chcieli wierzyć w to zjawisko, niemiecka organizacja życia i człowieka uniemożliwiała powstanie jakiejkolwiek cywilnej walki konspiracyjnej w łonie narodu. Jedyne też wydarzenie natury konspiracyjnej — zamach lipcowy 1944 — poczęło się wśród oficerów służby czynnej a zduszone zostało rychło przez SS i bierność, obojętność lub wręcz pieską gorliwość cywilnych mas narodu. Dziś natomiast, o dziwo, to jedyne męskie wystąpienie przeciw Hitlerowi poddają niemieccy politycy i publicyści ostrej krytyce dla powodów zgoła dla Europy nieistotnych, a obok życzliwym okiem spoglądają na — legendę.

W narodzie, w którym systematycznie zabijano myślenie, zastępując je postanowionymi z góry sloganami i sentencjami — tak, bo Niemcy są dość sentencjonalni choć to jest cecha ludzi dobrodusznych — w którym na widok zbrodni nawet przysłowiowych dziesięciu sprawiedliwych zamiast protestować, milczy lub jąka się, w którym pisarze niewątpliwie inteligentni i niewątpliwie o talencie dość humanistycznym (jak Hauptmann) zamykają oczy, odwracają wzrok ku górom, nie chcąc widzieć aby nie musieć sądzić, w takim narodzie istnieć miała według poety Weisenborna szeroko rozgałęziona organizacja walki cywilnej z hitleryzmem, w tysiące idąca grupa sabotażystów, bohaterów, którzy rezygnowali nawet z miłości dziewczęcej...

Posłuchajmy co o tym narodzie mówi dramaturg Friedrich Wolff w swym obszernym reportażu scenicznym „Co człowiek posieje"... Podzielmy sobie tych bohaterów.

Pierwsza grupa: ci co tylko stali obok. Nur dabeigestanden.

Gefreiter Pinne w październiku 1941 na urlopie w domu. Opowiada, że na autostradzie moskiewskiej zginął jeden z żołnierzy. Szef kompanii nakazuje zgromadzić mieszkańców bliskiej wsi. 50 starych mężczyzn, kobiet i dzieci.

STARY ANDRZEJ: A potem?

PINNE: Ha, potem zostali wszyscy rąbnięci przed rowem; była tam dziesięcioletnia dziewczyna, o której powiedziano, że w domu jej na ścianie namalowana była gwiazda sowiecka...

SCHIVVELBEIN: I za to rozstrzelaliście to dziecko?

PINNE: No cóż?

BOMST: A czy partyzantów znaleźliście później?

PINNE: Ee, nie; ale ten zagubiony żołnierz, cóż na to powiecie, przytroczył się następnego dnia; w taborze samochodowym u swojego starego kolegi szkolnego oblewał urodziny i wszyscy wlali się na całego...

STARY ANDRZEJ: I rozstrzelaliście tych Rosjan, kobiety, dzieci...

PINNE: Ja przecież nie wydawałem rozkazu; zresztą ja sam wcale nie strzelałem...

STARY ANDRZEJ: Tylko?

PINNE: Ja tylko stałem obok.

Z postacią starego Andrzeja wkraczamy w inną grupę Niemców, w których jeszcze drgało serce, odzywało się sumienie. Ale i oni nie będą konspiratorami. Będą łagodzić najwyżej zbrodnie małe, na wielkie zamykając oczy. sumieniu braknie kompetencji i odwagi.

Zatem druga grupa: ci co jeszcze mieli sumienie. Die gewissenhaften.

Nie jest przypadkiem, że przedstawicielem tej grupy jest pastor, ewangielicki ksiądz. W kościele ewangielickim okresu hitlerowskiego sumienie było ostatnią sygnaturką surowej ongiś, protestanckiej reguły. Rauschning, niezapomniany autor „Rewolucji nihilizmu", w swej nowej książce „Rozmowy z Hitlerem" wydanej w 1942 w Szwajcarii napisze:

„Te liberalne klechy zastąpią krzyż swastyką a misterium krwi swego Zbawiciela zamienią na misterium krwi niemieckiego narodu. Z protestantami można zrobić co się chce. Ich duchowni to mali, biedni ludzie, uniżeni aż do całowania w rękę."

A więc pastor Kranz. Obok stoi Hauptsturmführer SS i Oberstudienrat w jednej osobie Lippe. Właśnie pokazano na scenie starego Rosjanina, — będącego tu, w tej wschodniopruskiej osadzie, — z przestrzelonym ramieniem i nogami owiniętymi szmatami przed mrozem. Nie chciał ponoć pracować, postrzelono go i teraz odprowadzono do Stadtkommandantury, gdzie czeka go pewna śmierć.

KRANZ: Czy nie należałoby jednak zbadać tego wypadku?

LIPPE: Ten wypadek nie jest żadnym wypadkiem, księże, niech ksiądz się nie kłopocze! Jednego Rosjanina mniej lub więcej...

KRANZ (podenerwowany): *Przed Bogiem to człowiek, panie Oberstudienrat! Chrystus rzecze: Co uczyniliście jednemu z tych maluchnych, mnie uczyniliście.*

FRAU LIPPE: To znaczy, że ksiądz uważa tego Rosjanina i wroga naszego kraju za swojego brata?

KRANZ (milczy).

LIPPE: Zdaje się, że zna ksiądz nasz germański testament Eddę, która tu powiada: Człowieka zabiłem dla jednej blizny, a dziecko dla jednego guza.

Z postacią Lippego wreszcie wkraczamy w grupę Niemców aktywistów.

Grupa trzecia: ci, co ślepo szli za Hitlerem. Mitgemacht.

Posłużmy się jeszcze jednym przykładem z dramatu Friedricha Wolffa.

Na wschodniopruskie miasteczko spada kara. Rosjanie są w mieście. Palą się domy. Krawiec Pannwitz oszalał, wydaje mu się, że jest samym Führerem, pożary uważa za hołdowniczy pochód z żagwiami. Kara za zastrzelonego starego Rosjanina, za nauczycielkę z Mińska Galię, której kazano stać półnago na mrozie i myć szubrawcowi Horstowi nogi, kara za podłość, bierność, obłęd. Strzały. Na scenie stary Andrzej buntuje żołnierzy. Ktoś przypomina pełną pychy pieśń „Führer, befiel, wir folgen dir!"...

ŻOŁNIERZ: Zgadza się, to była nasza pieśń.

MANFRED: A teraz, koledzy, jak odnajdziecie to zwycięstwo, którym obdarzył nas Führer?

GERD: Pan chce oskarżać Führera?

MANFRED: Ja? O, nie! To byłoby za mało. Ale dymiąca ruina Niemcy — to jest ów daleko widoczny pomnik zwycięstwa Führera.

GERD: To muszę zameldować! (wychodzi).

Dokąd Gerdzie, smarkaczu wychowany na Eddzie i HJ, dokąd pójdziesz denuncjować Manfreda, odważnego dopiero w momencie klęski, dokąd, gdy na mieście już słychać nawoływania rosyjskich żołnierzy, gdy na murach pucułowaci kałmucy malują już dwa słowa: My pabiedili! Gerd — symbol społeczeństwa ślepego aż do grobu; pastor Kranz — symbol Niemców, którzy coś tam przebąkują o Bogu, o sądzie ostatecznym, o pogardzie dla doczesności — ale się boją doczesności i walki z nią, strasznie się boją; Gefreiter Pinne — symbol większości: — „oni nie maczali w tym rąk, oni tylko stali z boku, Volksgenossen Nurdabeigestanden". I w takim społeczeństwie miała kwitnąć konspiracja, ruch oporu, święte słowo Francuzów i Polaków, Jugosłowian i Rosjan. Konspiracja przeciwko komu, przeciw sobie?

A tymczasem legenda rośnie. Zostańmy przy przykładach literackich.

Heinz Rein, nieznany bliżej romansjer, napisał powieść o zagładzie Berlina „Finale Berlin". Czytałem ją w odcinkach „Berliner Zeitung" w r. 1946. Plącze się w tym Berlinie nieokreślona bliżej grupa konspiratorów, chce dotrzeć do linii rosyjskich. Prawie w przeddzień kapitulacji po rozmaitych przygodach z Volksturmowcami, aktywistami i z własnym tchórzostwem, wśród strzałów i wybuchów granatów widzą na ulicy patrol sowiecki.

„Wiegand wstrzymuje oddech, potem przeciska się zręcznie przez otwór w murze i idzie żołnierzowi sowieckiemu naprzeciw.

— Tawariszcz — mówi wzruszonym głosem i wyciąga doń rękę.

Żołnierz sowiecki ogląda go spokojnie, potem rozszerza wargi w szerokim uśmiechu, że aż zęby błyszczą.

— Tawariszcz — odpowiada i chwyta dłoń Wieganda."

To sielankowe spotkanie odbywa się na środku ziejącej ogniem ulicy, po okrucieństwach, które Niemcy popełniali w swym odwrocie od Wołgi po Szprewę. Nieznany Wiegand, anuż jakiś podstępny SS-man — i żołnierz sowiecki zaraz tak serdecznie? Coś za dobrze znamy dzielnych żołnierzy Armii Czerwonej, wiemy, że do zwycięstw wiodła ich nie tylko odwaga ale i ustawiczna czujność i podejrzliwość wobec wroga. Tajemnica wyjaśni się, gdy przeczytamy w tejże „Berliner Zeitung" komentarz do powieści Reina. W tym sielankowym powitaniu kryje się teza polityczna: Rosja uznała niemiecki ruch oporu jako sojusznika w walce z faszyzmem. To chce nam wmówić autor: uścisk dwóch narodów, walczących z faszyzmem: wielkiej Rosji i niemieckiego narodowego ruchu oporu.

Legenda rośnie. W okresie przedwojennym i my łudziliśmy się, że w Niemczech coś się dzieje. Pisaliśmy o tym, łączyliśmy z tym wielkie nadzieje. Tu sabotaż, tam mord kapturowy, tu ulotka, tam bunt. Wszystko okazało się złudne. Niemiecki ruch oporu, jeśli nawet w jakiejś miniaturowej postaci istniał, nie miał najmniejszego wpływu na zachowanie się społeczeństwa niemieckiego wobec Hitlera i podbitych narodów, na losy wojny. Był tajemniczy i nierealny, bezkształtny i niematerialny właśnie jak legenda.

Jeden z emigrantów Max Zimmering napisze w r. 1936 wspomnienie z pewnego spotkania. *„Tam leżą Niemcy..."*. Znajduje się w górach na granicy niemiecko-austriackiej. Czeka w schronisku na narzeczoną, która ma zjawić się tu na spotkanie. Naprzeciw niego siedzi młody człowiek, któremu podtyka emigracyjną gazetę „Gegenangriff". Młody nie chce jej przyjąć; za chwilę wstaje, idzie do Niemiec. Dopiero nad granicą odwraca się i prosi o gazetę. Potem zaś znika w mgle po stronie niemieckiej i woła:

— Dowidzenia panu. Nie znam pana, nie chciałbym też przeciwko panu świadczyć i ja jestem nieznany. Tak będzie lepiej dla obu i dla Niemiec. W mgle z trudnością mnie pan znajdzie. Rot Front!

Zatem komunista, konspirator, a nie żaden gorliwiec czy spicel. I wspomnienie to Zimmering oraz emigracja uważają za charakterystyczną formę konspiracji niemieckiej, ruchu oporu. Dziwna forma konspiracji dla nas, którzy mieliśmy ją w dymie granatów, wśród krwi i szeleście niezliczonych tajnych drukarń.

Legenda rośnie. Dokumenty literackie niemieckiego ruchu oporu mnożą się. Pod koniec r. 1946 rozgorzała na ten temat dyskusja publicystyczna. Mianowicie przedstawicielka kobiet niemieckich na pierwszy powojenny kongres światowy kobiet w Nowym Jorku na zapytanie dziennikarza „New York Times", czy kobiety brały udział w niemieckim ruchu oporu, odpowiedziała stanowczo: „Nie było ruchu oporu w Niemczech. To jest fakt, który musimy przyznać". Zaprzysiężony obrońca niemieckiego podziemia Günther Weisenborn wystąpił zaraz potem z namiętnym artykułem na łamach monachijskiej „Die neue Zeitung", przedrukowanym później także na łamach „Neues Deutschland", organu największej niemieckiej partii politycznej w strefie sowieckiej, w którym to artykule przytacza dowody, jego zdaniem niezbite, potwierdzające istnienie ruchu oporu. Podaje cyfry osób aresztowanych przez Gestapo. Na podstawie cyfr aresztowanych — w notatkach Gestapo podkreślano, że są to aresztowani za działalność nielegalną — ustala geografię niemieckiego ruchu oporu oraz przypuszczalną siłę poszczególnych grup. „Ponieważ zaś — pisze — na jednego aresztowanego według naszych doświadczeń przypadało przeważnie kilku konspiratorów, którzy nie zostali aresztowani, można liczyć rocznie 60.000 do 80.000 Niemców działających w ruchu oporu, to jest sześć do ośmiu dywizyj, to jest jedną armię". Ślicznie obliczono, skoro doliczono się całej armii bohaterów. Armii, rozciągającej się od Legnicy, gdzie w r. 1936 aresztowano grupę 100 ludzi, po Hannower (w r. 1936 216 aresztowanych). Weisenborn wymienia również większe organizacje jak grupę Uhrig (10.000 ludzi, 74 funkcjonariuszy), krąg Römera (120 ściętych), „Unię europejską", w Hamburgu grupę KdF (Kampf dem Faschismus) 3.000 ludzi, „Schulze-Boysen-Harnack-Gruppe" 600 oficerów, artystów, robotników, — a szczególnie Saefkow-Gruppe, potężną, działającą centralistycznie od Hamburga po Tyrol.

Umyślnie wymieniam wszystkie te grupy. Bo jeśli nawet taka armia istniała, to resztki jej mają prawo dziś występować w imieniu wszystkich Niemców. Naród bowiem, który nie potrafił stworzyć warunków pod rozwój antyfaszystowskiej, antydemonicznej konspiracji, nie jest narodem zdrowym. Taki naród nie ma także prawa korzystać z chwały miniaturowej grupki żyjących, wątpliwych czy niewątpliwych konspiratorów. Legenda rośnie i rośnie na chwałę Niemiec a nie na chwałę tej ewentualnej grupki, która przeżyła straszną noc. Legenda ma obronić społeczeństwo Lippych, Kranzów i Gerdów przed pogardą i karą.

Polski publicysta (Egon Naganowski w „Polsce Zachodniej" luty 1947) stwierdził, że „niemieccy przeciwnicy Hitlera nie zdobyli się na terenie Niemiec, poza wydawaną w Berlinie „Wolnością" („Freiheit") na żadną stale ukazującą się gazetkę... Wszystkie te drukowane pisma i pisemka, które niejeden z nas miał w ręce podczas okupacji, a więc dwutygodnik „Ostwache", dalej „Der Durchbruch" ukazywały się w G. G. a autorami i wydawcami byli przeważnie... Polacy". Pokazywały się wprawdzie w Niemczech podobnie jak u nas w Warszawie książki o treści nielegalnej z okładką maskującą. Ale tylko pokazywały, nie ukazywały. Drukowano je na emigracji — F. C. Weiskopf w art. „Getarnte Exilliteratur" w „Die Neue Zeitung" z grudnia 1946 r. potrafi wymienić kilka zaledwie pozycyj — i przemycano je do Niemiec. Wątpimy jednak, czy w społeczeństwie tak tchórzliwym mogły te książeczki spełnić swą rolę. Zapewne przy drugim lub trzecim podaniu ginęły w piecu. Ogłoszenie, jakie ukazywało się we „Frankfurter Rundschau" 1946 nawołujące do zgłaszania posiadanych egzemplarzy takich wydawnictw, pozostało w każdym razie bez echa. Znamiennie to potwierdza zdanie. Wyrażona w przedmowie do jednej z takich książek (antologia literatury emigracyjnej w masce cyklu „Deutsch für Deutsche", wydawnictwa Albert Otto Paul, Lipsk) myśl: Ogień, oświecający was z tej książeczki, jest wolą milionów zaklętą w słowo. Podajcie go dalej, aby dusze gorące zapłonęły a dusze oziębłe rozpaliły się" — była myślą rzuconą w nieprzebity mrok, w którym duszę niemiecką piętno zbrodni obracało w nicość, w materię podobną do mazi rozkładającego się trupa.

Ale legenda rośnie. Pozwolono sobie nawet na ostrą krytykę zamachu z 20 lipca 1944 („Neues Deutschland" styczeń 1947), że ograniczył się do generałów, którzy krytykowali tylko strategię i taktykę Hitlera, oraz do polityków, którzy nie zdołali wciągnąć do sprzysiężenia mas narodu. — W takim narodzie?

„...jest czas — napisał Weisenborn — by nareszcie oddać sprawiedliwość niemieckiemu ruchowi oporu. Zabieram w tej sprawie głos niechętnie, ponieważ nikt się poza tym nie odzywa. Przyjmuję, że ci co przeżyli, zanadto są zajęci. Osobiście nie mam zamiaru wchodzić do historii niemieckiej jako bohater ruchu oporu, byłem tylko małym kółkiem w mechaniźmie, ale zato jestem świadkiem. A mówię tu w imieniu licznych kolegów, którzy nie żyją a których czyny nie mogą być zapomniane. Oni stanowili owe tajemne, lepsze Niemcy.

A więc rośnie legenda. Johannes R. Becher w swojej książce „Powieści wierszem" (Aufbau-Verlag, Berlin) opublikuje mały epos „Troje", poświęcony pamięci rodzeństwa Hansa i Sophie Scholl oraz Alwina Probsta, usiłujących zorganizować ruch oporu wśród studentów monachijskich. Jak wiadomo, rodzeństwo zostało ścięte niedługo po pierwszych próbach roboty konspiracyjnej. Artystycznym zaś ukoronowaniem legendy jest dramat Günthera Weisenborna, więźnia niemieckich więzień, dedykowany bohaterom „frontu szafotu" — „Nielegalni", wystawiony po raz pierwszy w Berlinie 1946 a potem w wielu miastach niemieckich, wydany przez komunistyczny Aufbau-Verlag. Jest to historia małej grupy konspiracyjnej aż do jej zniszczenia przez Gestapo, rzucona na tło stosunków niemieckich. Są tu szubrawcy Gestapa i naród, który się składa z Niemców lękliwych ale sprzyjających na ogół ruchowi oporu oraz z bohaterów, kolportujących nielegalne ulotki, nalepiających nielegalne afisze i obsługujących nielegalną stację radiową (Wiederstandssender Waldemar I). Bohaterka Lill wygłasza tu kilka wzniosłych myśli na cześć nielegalnych.

„My nielegalni jesteśmy cichą gminą w kraju. Ubrani jesteśmy jak wszyscy, posiadamy ich obyczaje, ale żyjemy podwójnie między zdradą a grobem. Nie rzucamy żadnych cieni, należymy do przyszłości, której samotnymi korzeniami jesteśmy. Musimy być nieludzcy..!"

Kiedy indziej w liryczną chwilę miłości Lill powstaje i wygłasza hymn na cześć kobiet niemieckich, jakby gotową odpowiedź dla przedstawicielki kobiet niemieckich na światowym kongresie kobiet w Nowym Yorku.

„...Nie jestem jedyną kobietą! Jest ich tysiące, stojących w tę noc w Niemczech na cichej warcie, pracujących. Nalepiają, sporządzają fotokopie w trwożnie wskazanych łazienkach, wystukują pod dachami tajne artykuły, samotnie przedzierają się przez noc w burzy i śnieżycy, ze zlodowaciałymi brwiami ciągną przez kraj i niosą wieść. Wrzucają listy w liczne skrzynki pocztowe. Podróżują jako kurierki. W swoich zgrabnych torebkach ukryły śmiertelny materiał... Ach, te tysiące kobiet w tę noc..."

Obraz konspiracji, jaki przed oczyma świata roztacza w tym swoim dramacie Weisenborn jest rzeczywiście wspaniały i porywający. I przez to niezwykle niebezpieczny. N i e b e z p i e c z n y!

Legenda staje się dla wielu historią, dla wielu polityków zagranicznych nawet. Pisarz niemiecki stara się za cenę swojego niewątpliwego talentu odbudować utracone zaufanie w świecie. Takiego dramatu o konspiracji nie ma dotąd chyba żaden naród, tyle patosu w ocenie konspiracji nie spotkaliśmy dotąd nawet w polskiej literaturze, która zbyt szybko już przeszła do wulgarnej dokumentacji w rodzaju „Kukułki".

Inna scena z dramatu Weisenborna:

Lill stara się w swoją grupę wciągnąć Waltera, syna gospodyni, u której pracuje. N. b. Walter jest już w konspiracji, mianowicie obsługuje jako speaker tajną stację Waldemar I.

WALTER: Kto są ci ludzie? Jakiego rodzaju, z jakiej partii?

LILL: Jest już tylko jedna partia, która nazywa się: Wolność! Wszystko inne nie interesuje nas już.

(Dokończenie na stronie 5)

*) Rozdział z książki „Literatura niemiecka po wojnie", którą wydaje poznańskie Wydawnictwo Zachodnie.

Odra w fotografii

Fot. H. Knappik

JERZY SZUMILAS

Apostoł Polskiego Zachodu

KWIETNIOWEGO wieczoru roku 997 przedzierając się przez puszcze i przeprawiając przez zamulone wiosenne rzeki stanął św. Wojciech przed miastem Prusów zwanym Cholinum. Zażądał wpuszczenia do miasta. Oczekując na zgodę zmęczony długą podróżą położył się razem ze swoimi towarzyszami do snu w świętym gaju pogańskim. Ktoś jednak rozpuścił wieść, jakoby podróżni byli wywiadowcami ukrytych po lasach wrogów. Gdy chłodna noc przygasała na niebie pojawiła się w świętym gaju grupa pogańskich siepaczy. Porwali św. Wojciecha na pobliski pagórek i tu go, zgodnie z panującym tu obyczajem rytualnym, ukamieniowali.

W tych dniach mija 950 rocznica tej męczeńskiej śmierci. Obchodzić ją będą równie uroczyście dwa zaprzyjaźnione narody, polski i czeski. Św. Wojciech jest obok świętego Wacława drugą wielką postacią czeskiego dziesiątego stulecia. O ile jednak sława św. Wacława ma znaczenie czeskie tylko, to św. Wojciech roznosząc po świecie imię czeskie zasługę kościelną i sławę zdobywa poza Czechami. Podobnie jak św. Wacław znienawidzony przez ówczesnych władców czeskich i wygnany ze swej ojczyzny pielgrzymuje po ówczesnej Europie, dwukrotnie pojawiając się w Rzymie. Widzimy go przygotowującego się do podróży do Ziemi Świętej, do czego jednak nie doszło, potem na krótki czas obleka szaty benedyktyńskie w klasztorze Monte Cassino oraz wstępuje do nowicjatu awentyńskiego klasztoru św. Bonifacego i Aleksego. Dwukrotnie przemierza Niemcy i dwukrotnie rozmawia z cesarzem Ottonem III. Prawie samotnie wędruje w celach apostolskich po Węgrzech, Słowacji i krainach czeskich, w których chrześcijaństwo potrzebne było władcom tylko jako ozdoba tronu, dekoracja święta, z czym św. Wojciech walczy nieugięcie. I znowu przez Niemcy do Francji do grobów świętych. W drodze powrotnej osaczają go złe nowiny z ojczyzny. Zdrada, zbrodnia i złość toczą ród panujących. Postanawia nie wrócić już do Czech. Przybywa na dwór młodego dzielnego Bolesława Chrobrego. Przyda się teraz polskiemu władcy i znajomość św. Wojciecha z cesarzem niemieckim i polityczne umiejętności Czecha.

Polska jest w tym okresie historycznym samym zachodem, w tym przynajmniej geograficznym znaczeniu, w jakim ukazuje nam się dzisiejszy polski zachód. Św. Wojciech staje się gorliwym apostołem polskiego Zachodu. Swój kunszt polityczny dzieli między Bolesława i Kościół, swą apostolską gorliwość między Kościół i plemiona polskie. Na wiosnę 997 roku wyrusza w swą ostatnią podróż. W krainie pomorskiej znajduje śmierć męczeńską...

W maju tegoż roku Bolesław Chrobry, nie na darmo zwący się wiernym przyjacielem św. Wojciecha, wykupuje ciało męczennika z rąk pogańskich. Uzbrojona drużyna w długim i znojnym marszu przez puszcze przybywa z ciałem świętym do Gniezna. Tu stanie grób św. Wojciecha.

Dzieje sławy św. Wojciecha są szybkie. Już w roku 999 odbędzie się jego kanonizacja, a italski mnich Kanapar z klasztoru św. Bonifacego i Aleksego napisze jego pierwszy życiorys. Tegoż roku brat św. Wojciecha Radim wyświęcony zostanie w Rzymie na arcybiskupa gnieźnieńskiego. W rok później ustanowiono w Gnieznie trzy nowe biskupstwa na ziemiach polskich, w Kołobrzegu, we Wrocławiu i w Krakowie. Przez fakt ten Bolesław Chrobry nad grobem św. Wojciecha dokonuje zjednoczenia ziem polskich z nad Odry i Wisły w państwo jednej siły i jednej wiary. Mistyczny opar unoszący się nad grobem gnieźnieńskim widoczny jest w całej chrześcijańskiej Europie, przynosząc Polsce sławę. Zazdrosnym okiem patrzą na święte ciało wygnanego rodaka władcy czescy a wyprawa Brzetysława przeciw Polsce za główny cel obiera sobie Gniezno i wywiezienie ciała biskupa do Czech.

Wojciechowa rocznica jest świętem przede wszystkim Polski Zachodniej, a potem całej Słowiańszczyzny. Czeska jego pieśń „Hospodine, pomiluj ny" łączy się z dźwiękami długo mu przypisywanej „Bogurodzicy", głosząc chwałę Pana i pionierskiego trudu, którego on był na naszych dzisiaj odzyskanych ziemiach pierwszym świętym i bohaterem.

Jerzy Szumilas

LUDWIK ŁAKOMY

Rozmyślania zachodnio-pomorskie

Piękno brzegu Bałtyckiego pod Derłowem na Pomorzu Zachodnim

Kiedy się człek osiedli w takiej miejscowości nadbałtyckiej jak Derłów, to zimą w chwilach wolnych od pracy, krom przechadzki nad morzem i rozmyślań nie posiada właściwie innego środka spędzenia czasu. W nieliczne pogodne poranki stycznia drapaliśmy się z synem na grzbiet diuny i osłonięci zeschłą trawą, spozieraliśmy na morze, nad którego marznącą skorupą grał tuman śnieżnych pyłków, nawiewał je na zaspy o wygładzonych kształtach, obok których roztaczały się doprawdy imponujące widoki przed nami.

Tuż po wschodzie słońca zorza na niebie przechodziła przy obrze żeniach w opalowe i błyszczące barwy powierzchni wody a fale szemrząc kruszyły taflę lodu, układając na wolnej przestrzeni gęsty wzór zmarszczek. Na lodzie oraz na spiętrzonych krach sadowiły się gromadnie kaczki lodówki, czyszcząc swe piórka; wpodle wybrzeża kaczki brunatne czerniały na śniegu a klucze nurków krążył w powietrzu raz bardzo wysoko, to znów tuż nad wodą, w końcu siadając i łącząc się z pływającymi. Dalej od brzegu, gdzie toń głębsza, huśtały się na falach nury i tracze, raz po raz znikając pod powierzchnią wody.

Gdyś je usiłował śledzić, niespodziewanie dochodziły do twych uszu dziwne głosy ze sklepienia niebios, jakby bicie dalekich dzwonów, jakby szum głęboki a melodyjny. Podniósłszy oczy widziałeś nad sobą sznur lecących łabędzi a szmer ich skrzydeł, to legendarna i baśniami osnuta pieśń łabędzia, coraz bardziej słabnieająca, w końcu milknąca, w miarę, jak sylwetki ptaków wtapiały się w zorzę czystego nieba.

Ale w lutym, na skutek szczególnie surowej zimy, jakiej nie pamiętają tu od sześćdziesięciu lat, na twardej, miejscami gładkiej jak stal powierzchni lodu, nie napotkasz morskiego ptactwa. Gdzieś tam w Gdyni lub Gdańsku uwijają się pospolite, albo srebrzyste lub żółtonogie, rzadziej blade — mewy, zaś tutaj panuje cisza niczym nie zakłócona.

Dobrze się myśli czasu takiej ciszy. Szuka się sensu trwania na Pomorzu Zachodnim, biednym przecież na skutek niepomyślnych warunków przyrodniczych. Klimat tu nie nadzwyczajny a pomału ogrzewający się Bałtyk, zostający pod zbyt słabym wpływem Golfstromu, każe nam długo czekać na wiosnę. Nadto Derłów leży w pasie nader wilgotnym (powyżej 700 mm opadów i chłodnym; chociaż później tu niż gdzieindziej można załatwiać się z robotami jesiennymi, bo późno ogrzewające się morze dłużej utrzymuje tu jesienia ciepło. Lecz nie obsiewając maleńkiej swej działki ani jęczmieniem i owsem, ani koniczyną, nie odczuwam dobrodziejstwa tego stanu rzeczy — wiem tylko, iż dzielnica, jaką sobie obrałem za stałe miejsce zamieszkania, posiada dużo nieurodzajnej gleby, niesprzyjający klimat i słabe zaludnienie.

Już gleboznawcy niemieccy ustalili, że 78,9 proc. ziemi Pomorza Zachodniego stanowią lepsze czy gorsze piaski; już przed wojną ustalono, iż ziemi pszenno-buraczanej jest tu tylko 3,4 procent, owsiano-jęczmienno-koniczynnej 17,2 proc., za to żytnio-ziemniaczanej 42,1 proc. i łubinowo-żytniej 36,8 procent. Tak więc roślinnym wytworem Pomorza Zachodniego, poza innnym bogactwem rolniczym — sianem ze zmeliorowanych łąk — są zasadniczo ziemniaki oraz żyto.

Ale przy uprawie ziemniaków i żyta trzeba dobrze uprawić rolę, co jest możliwe tylko przy dostatecznej sile pociągowej: koniach lub wołach. Tymczasem na 81 tys. 15 hektarowych gospodarstw potrzeba co najmniej 162 tysiące koni, gdy obecnie posiadamy ich około piątej części niezbędnej ilości.

Prawda, przecież są traktory! Tylko że delikatne, wymagające dobrych smarów oraz odpowiedniej obsługi traktory amerykańskie nie są dla nas obecnie odpowiednie; tu pomogłyby Lawiowskie „buldogi", mocne, proste w obsłudze. A czy nie można by tak dostać w formie odszkodowania wojennego kilka tysięcy „buldogów"? Było by to przecież odpowiednie zajęcie dla przemysłu maszynowego Niemiec.

No tak, można by czasowo orać krowami, gdyby one wydołały: pracować i dawać mleko, a także i nawóz, niewątpliwie konieczny wskutek braku nawożenia.

Ostatecznie nawóz bydlęcy mogłyby z powodzeniem zastąpić nawozy sztuczne, gdyby właściwe wytwórnie nie sprzedawały ich po cenach spekulacyjnych, jak to ma miejsce obecnie. Jakoś ktoś gdzieś nie zdołał sobie uprzytomnić, że bez nawozów nie będzie ani dla gospodarstw owsa, ani żyta dla aprowizacji miast.

Być może, będą i obrodzą ziemniaki. Po opędzeniu naszych potrzeb winny one jako zdrowe sadzeniaki iść nie tylko na bliski zachód, lecz sięgnąć powinny i za ocean. Nie wolno nam zapominać o tym, że w Ameryce cena ziemniaków zbliża się do ceny pszenicy.

A już pod grozą najcięższych kar należy zabronić przerobu ziemniaków na spirytus i płatki. A od czego istnieją trociny oraz inne odpadki drzewne, jeśli nie po to, by je scukrzyć na spirytus lub na treściwą paszę dla nierogacizny! Zapewniam: kieliszek wódki wyprodukowany przy pomocy shydraulizowania z trocin idzie na zdrowie nie gorzej od kieliszka żytniówki lub starki.

Wróćmy jednak do bydła. Biedne z natury Pomorze Zachodnie pod względem hodowli tegoż nie stało za czasów niemieckich na szarym końcu a pomimo braku paszy treściwej zdołało w czasie wojny utrzymać produkcję przeciętną mleka od krowy na wysokości około 2500 litrów rocznie. Krom podniesienia wydajności mleka chodzi również o utrzymanie wysokości pogłowia bydła. Dlatego musimy zrezygnować z wołowiny, a jeśli nam nie wystarczą ryby, których tutaj w bród, przejdźmy do spożywania wieprzowiny oraz drobiu; nieco później, może za dwa lata, ukaże się w jatkach dotąd należycie nie doceniana baranina; wołowina w większej ilości stanie się dostępna na Pomorzu Zachodnim za lat sześć lub osiem. Dopiero za lat dziesięć będziemy wywozić w bliski lub daleki świat szynki i bekony, o ile zbiedniała Anglia zdoła ich zakupywać tyle, co przed wojną.

Pozostają ryby. Wielkie to bogactwo Bałtyku, o ile będziemy posiadać wytwarzającą ilość kutrów na połowy dalekomorskie. Stocznia darłowska już zaczyna kutry produkować; maluczko a nasi rybacy popłyną już nie tylko w okolice Bornholmu, lecz przypuszczalnie i na Morze Północne.

Po niebywale długiej i srogiej zimie, która umożliwiła przejazd lodowiskiem samochodami z Gdyni na Hel, nadejdzie silny wicher z zachodu, nawieje wraz z chmurami falę ciepłego powietrza, które na oczach dokona przeistoczeń w surowym krajobrazie morskiego szlaku. A gdy tylko śnieżna gładź lodowiska porysuje się głębokimi szczelinami, gdy odspodnie wzdęcie fal połamie szklistą skorupę, gdy morze rozgwarzy się wreszcie opryskiem spienionych bałwanów czy szeptem zamierających na piaszczystym wybrzeżu bryzgów — rybacy zachodnio-pomorscy wyruszą na połowy, rolnicy zaś rozpoczną obrządki wiosenne.

Wprędce rozgwarzą się i ożyją nadbałtyckie rzeki i jeziora, pojawią się kaczory edredonowe, mające na głowach z powodu pory godowej duże, jasno-trawiaste plamy, zaczną przelatywać orły morskie, wielkością przewyższające przednie a na wielkiej, najpiękniejszej z wód polskich zatoce Szczecińskiej rozsieją się białe żagle łodzi i mleczne puchy okrętowych dymów. Wnet rozsnują się pasma strzelającej zieleni rozpiękniającej się w różnobarwność wiosennej krasy, rychło wykwitną cienie świerkowych pagórków, jaśń brzozowych gajów, soczysta ruń ozimin i złotopiaszczystych wydm.

Oczy nadbałtyckiego rolnika ślizgać się będą po rozlewisku wód a myśl zabłąka się w zagadnienie, jak tu uprawić rolę, by wydała ona więcej niż przysłowiowy brat brata.

Bo gleba na Pomorzu Zachodnim jest, jak już wspomniałem, piaszczysta. Najlepszą ma powiat pyrzycki i przylegające doń części gryfińskiego oraz myśliborskiego, jako też małe skrawki choszczeńskiego, starogrodzkiego, chojeńskiego i już za Odrą, na lewym jej dolnym biegu u ujścia — szczecińskiego. To najsmutniejsze, że najżyźniejszy powiat, obszar byłych latyfundiów i wielkochłopskich gospodarstw, przez Niemców nazwany pszennym łanem, powiat pyrzycki o suchym i ciepłym klimacie — jest prawie że nie zagospodarowany, a to z racji straszliwie zniszczonego podczas wojny terenu. Gospodarka przedstawia się tam tak, jak ruiny nie istniejącego miasta Cyrzyc.

Wobec tej piaszczystości Pomorza Zachodniego koniecznością staje się to, co się stało w Danii po zagrabieniu przez Niemców w 1864 roku bogatego, żyznego Szlezwiku, gdy na kontynencie przy Duńczykach zostały jałowe wrzosowe piaski Jutlandii. Wówczas to duński Włoch Dalgas zaczął nawoływać, iż zmniejszoną ojczyznę należy powiększyć w głąb; sam się zabrał do uprawy wrzosowisk, pociągnął za sobą ogół — i rzeczywiście jałowe wrzosowiska piaszczyste zamieniły się na urodzajne pola dzięki naukowemu studiowaniu upraw, zaś dla demonstrowania postępu upraw założono w różnych okolicach Jutlandii pola pokazowe.

Polska, co najmniej w dwóch trzecich swego obszaru piaszczysta, nie posiada dotąd wzorowej stacji doświadczalnej na piaskach. Dobrze byłoby, gdyby Pomorze Zachodnie taką stację powołało. Poważny, naukowo-badawczy instytut, stworzony dla tego celu a oparty o wyższą uczelnię rolniczą, której konieczność istnienia na Pomorzu Zachodnim jest bardziej nagląca niż Szkoła Inżynieryjna, mógłby się stać błogosławieństwem dla tutejszych gospodarsw zamieniając swą działalnością liche piaski na uprawne pola i wydajne role.

Tego roku latem spotykamy się wszyscy na pięknej plaży derłowskiej.

Jeśli się tyle mówi i pisze, że Szczecin przede wszystkim winien skupić największy potencjał akademicki ziem północnych, jeśli się uznaje ,że na tym bastionie zachodniej polszczyzny myśl polska winna wesprzeć niewzruszone słupy graniczne państwa polskiego, to dla tego celu powołajmy jak najprędzej Uczelnię Rolniczą.

Szczecinowi nie można zalecać li tylko i wyłącznie tworzenie placówek kulturalno-naukowych o charakterze ekspozytur instytucyj badawczych w innych miastach. Trzeba prócz W. S. H. oraz Instytutu Inżynieryjnego stworzyć koniecznie i jak najprędzej Wyższą Szkołę Rolniczą z Naukowym Instytutem dla Uprawy Piasków, wzorując się na formie odnośnych instytutów naukowych w Rosji Sowieckiej.

Właściwie te rozmyślania miały być rozważaniami na temat syna założyciela Derłowa, księcia rańskiego Wiszesława III, który w liczbie niemieckich poetów zasłynął. Miałem zdać sprawę z jego rymów w „Minnesiger Deutsche Liederdichter" i podnieść za Wicarem, że „lud jego na marach a on wesoły pisarz, o jakaż ironia!", gdy wpadła mi w rękę umowa biskupa zwierzyńskiego z księciem rańskim Wiszesławem I (1221 r.), w której czytamy: „Si vero, sinistro suecedente casu, quod Deus avertat, terra pretaxata in pristinum fuerit statum reversa, ita quod Theutonicis expulsis, recolere terram Slavi incipiant" — „Lecz gdyby zdarzyło się takie nieszczęście, od którego niech Bóg uchowa, że wzmiankowana ziemia powróciłaby do dawnego stanu, tak, że z wygnaniem Niemców Słowianie znowu by ją posiedli" — i te właśnie słowa nastawiły mię na odwrót od zagadnień czysto literackich na tor codziennej współczesności. Uprzytomniłem sobie, że taką umowę zawierał Słowianin, książę Rugii a raczej Raszy z Niemcem! I uprzytomniłem sobie zarazem, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi dziś z racji tejże Raszy Szczecinowi oraz całemu Pomorzu Zachodniemu. Wszakże kompleks wysp Raszy w rękach niemieckich to drugi Wersal — ciągła groźba dla pokoju światowego. Gdyby te 968 kilometrów kwadratowych obszaru należały do Polski, zamienione w bazę lotniczo-morską, umożliwiłyby kontrolę niemieckiego wybrzeża Bałtyku, chroniąc nasz ruch na kierunek Sund-Kattegat. Wszakże ujście prapolskiej i prasłowiańskiej rzeki Odry może być zabezpieczone tylko w wypadku przyłączenia do obszaru Rzeczypospolitej kompleksu wysp Raszy, które oddadzą w polskie ręce główną arterię komunikacyjną do krajów skandynawskich, zbliżając Polskę do Szwecji i Danii a oddalając równocześnie wybitnie niemieckie wpływy i ewentualne dążenia ekspansywne od całego Nadodrza. Posiadanie przez Polskę kompleksu wysp Raszy zabezpieczy na trwałe pokój świata i uniemożliwi Niemcom ich dążności zaczepne a co najważniejsze, uchroni Szczecin i Odrę od bezpośredniej agresji niemieckiej. Niechże więc „wzmiankowana ziemia" powróci „do dawnego stanu, tak, aby z wygnaniem Niemców Słowianie znowu ją posiedli" bo to dopiero zabezpieczy nam gospodarowanie na Pomorzu Zachodnim, to sprawi, że prasa niemiecka nie będzie mogła określać polskości Szczecina jako „wydmy bieżącej historii".

Pozostawienie Raszy w rękach niemieckich to miecz Damoklesa zawieszony nie tylko nad Szczecinem i Odrą, lecz nad całością naszych Ziem Odzyskanych. Bo, niestety, tak jak dotąd rzecz się przedstawia, to naród niemiecki nie prędko zmieni swój charakter i nie prędko zrezygnuje z wojny jako narzędzia polityki, zwłaszcza gdy tę wojnę umożliwi mu posiadanie Raszy. Bez tego kompleksu prasłowiańskich wysp, rozszerzenie naszego dostępu do morza ma tylko lokalne znaczenie.

Takie to są rozmyślania zachodnio-pomorskie wczasu srogiej zimy nad wybrzeżem Bałtyku pod Derłowem, do którego pono można się było dostać ongiś ze śródka Polski, od Gopła, płynąc rzeką Brdą, przez jeziora w ziemi Zaborskiej i Wieprz.

Nie wiele czasu upłynie, gdy po odwilży spłyną lody i przewalą się nad Bałtykiem wiosenne ulewne szkwały. Wnet powieje upragniona przez rybaków bryza, a kiedy promienie słoneczne uśmierzą ziąb wichru i wody, w jasności rozświetlonych przestrzeni rozpoczną się połowy.

Bez ryby źle by było z Pomorzem Zachodnim. Z początkiem XX wieku tylko w samej zatoce szczecińskiej wyłowiono 2,5 miliona kg ryb; w tej liczbie było ponad 400 tysięcy kg węgorza. W okresie od 1. IV. do 31. III. lat 1927—1928 na wybrzeżu Pomorza Zachodniego wyłowiono kilogramów ryb 6.028.996! Śledź, flondra i węgorz, wędzone lub marynowane, stanowią podstawę przemysłu rybnego. Z ryb słodko-wodnych hodowano karpie, liny, okonie i sandacze. W samym Derłowie było 150 rybaków, z których jedni na łodziach żaglowych w odległości 20 mil morskich od wybrzeża poławiali ryby siecią lub na haczyki; inni, rybacy dalekomorscy, posługując się 50 kutrami motorowymi, przeprowadzali połowy na obszarach całego morza Bałtyckiego i Północnego.

Krom rybactwa oraz związanego z nim przemysłu Derłów żył sobie przed wojną wspaniale z kąpieliska nadmorskiego, do którego zjeżdżano ze wszystkich zakątków Rzeszy. Tu Niemcy nabierali zdrowia, tu ciała ich gorzały od słonecznego pożaru, tu płuca napawały się powietrzem, do którego nie sięgnął brud i kurz, tu morze, słowiańskie morze, podniecało energię mącicieli świata, dodając im sił i skrzepiając do zapasów ze sprawiedliwością i ludzkością.

I zdawało się, że już tak pozostanie na zawsze. Aż oto od Lenina poprzez Warszawę, przemierzywszy sporą połać ziemi i nie mało pogubiwszy braci, na początku 1945 roku przybyli tu żołnierze polscy, dnia 18 marca zdobywając Kołobrzeg

Dążąc długimi drogami wśród zażartych bojów żołnierz I Armii Wojska Polskiego po zdobyciu Warszawy przebiegł szlak wzdłuż lewego brzegu Wisły do Bydgoszczy, następnie z kierunku Bydgoszcz-Frydląd przełamawszy zawzięcie bronioną przez Niemców pozycję tzw. „Wału Pomorskiego" ruszył do dalszego natarcia na Bałtyk, celem obsadzenia wybrzeża od Kołobrzega do ujścia Odry.

Od 10 do 18 marca trwały zacięte walki pod Kołobrzegiem i w samym mieście, które posiadało bardzo korzystne naturalne warunki obrony, mianowicie częściowo wąskie ulice, poprzerzynane przeszkodami wodnymi, z dogodnym zapleczem morskim.

Mimo to I Armia Wojska Polskiego wykonała w pełni postawione jej zadanie operacyjne zdobycia Kołobrzega, ponosząc poważne ofiary w tej bodaj najcięższej bitwie na jej bojowym szlaku, a natomiast zyskując tę pełną dumy świadomość, że to miasto, w którym przeszło dwieście lat wstecz Bolesław Chrobry założył biskupstwo i które po przejściowej stracie ponownie sto lat później zdobyło rycerstwo Krzywoustego, zostało zdobyte jako pierwszy port na Bałtyku przez polskich żołnierzy..

Tego pamiętnego dnia 18 marca 1945 roku odbył się akt Zaślubin Polski z Bałtykiem a kilka tysięcy żołnierskich piersi zagrzmiało przysięgą:

„Po ciężkim, krwawym trudzie doszliśmy do Ciebie, Morze i przysięgamy, że już Cię nigdy nie opuścimy." A potem rozległ się wzruszony powagą chwili głos:

„Rzucam ten pierścień w Twoje fale i poślubiam Cię, Morze, jako żeś było i będziesz nasze."

Ludwik Łakomy.

Perspektywa Odry

Miasteczko Śląskie CZERNA, z którego wszyscy mieszkańcy uciekli do Polski we wrześniu 1759 r.

Do objawów bezwzględnie pozytywnych należą pewne fakty i wydarzenia kulturalne na Dolnym Śląsku, który pod tym względem Ziemiom Odzyskanym wydatnie przewodzi. Fakty to stanowczo za mało rozreklamowane choć znaczenie ich jest nie mniejsze od dyskutowanych szeroko w prasie codziennej osiągnięć gospodarczych tej części Ziem Odzyskanych. Z ostatnich wydarzeń wymienić należy przede wszystkim pięćdziesiąty z kolei „czwartek literacki" we Wrocławiu, który zbiegł się akurat z uroczystościami Tygodnia Ziem Zachodnich.

Za wcześnie jest jeszcze dziś na ocenę historyczną dla wrocławskiego życia kulturalnego działalności tutejszego Koła Miłośników Języka i Literatury Polskiej ale przy okazji tego pięknego jubileuszu trudno powstrzymać się od słów wielkiego uznania dla organizatorów „czwartków". Każde prawie miasto polskie organizuje dziś tego rodzaju cotygodniowe literackie czy popularno-naukowe imprezy odczytowo-dyskusyjne ale „czwartki" wrocławskie mają znaczenie o wiele głębsze. Wyrosły one i zaczęły się rozwijać dzięki uporowi kilku ludzi a zwłaszcza cenionej pisarki Anny Kowalskiej i profesora uniwersytetu wrocławskiego Tadeusza Mikulskiego. Wyrosły wbrew logice trudnego żywota osiedleńców na ruinach miasta zburzonego. Nie były też wynikiem rozwoju większego środowiska literackiego, którego tu zrazu nie było ale do stworzenia takiego środowiska świadomie dążyły. Dziś po pięćdziesięciu wieczorach zauważyć można z radością, że we Wrocławiu środowisko takie powstało, godząc dzięki istnieniu Uniwersytetu umiejętnie zainteresowania i dyskusje naukowe z literackimi. Rozsądny i dla dalszego rozwoju życia kulturalnego Wrocławia nader istotny jest kierunek ideowy tej roboty czwartkowej. Z okazji pięknego jubileuszu jeden z organizatorów „czwartków" pisze w „Naprzodzie Dolnośląskim", że „przegląd śląskich sił, ludzi, tradycji, rzeczywistości — nie wypełnił naszych zebrań do reszty — bo na drugim torze ze szczególną świadomością, by region nie przysłonił nam dalszego i szerszego widzenia, przewinęły się przez „czwartki" wrocławskie liczne, zagadnienia ogólne, literackie, historyczne, kulturalne — w aspekcie Polski, świata słowiańskiego, świata bez przymiotników."

Uparta ciągłość i powodzenie wrocławskich „czwartków" wróżą dobrze o środowisku i jego ambicjach. Gdy równocześnie widzimy, jak nierówno, kapryśnie i bez większego rezonansu rozwija się podobna robota w drugiej kulturalnej stolicy Śląska w Katowicach, musimy przyznać, że Wrocław w tym szlachetnym wyścigu zajmuje pewnie miejsce pierwsze, które mu się należy zresztą tak ze względu na tradycję jak i polityczne znaczenie jego stanowiska w obrazie Polski. Niemniej utrzymanie dwóch dalszych żywych ognisk życia kulturalnego Śląska, w Katowicach i w Opolu, jest konieczne i ważne.

Obserwacja wrocławskiego życia kulturalnego pozwala na duży optymizm. I czy to wspomnimy „czwartki", czy urządzony przez „Trybunę Dolnośląską" organ tutejszego PPR-u, koncert dla robotników czy wreszcie peregrynacje dolnośląskie teatru OM TUR z muzyką i poezją polską, wszędzie na wszystkich poziomach życia kulturalnego widzimy „rozpinającą się nad horyzontem śląskim wysoką kopułę kultury, o której myślimy, zdaje się dość zgodnie, że jest to kultura humanistyczna". To ostatnie jest zdobyczą środowiska uniwersyteckiego, które tutaj we Wrocławiu tworzy nowe wartości kulturalne o zasięgu i dynamice nie spotykanej w innych miastach polskich.

●

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące, —
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczyło, jeśli grodów dobywali, —
A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny morskiej fali:
Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie. —
A my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie!

(Pieśń rycerzy Bolesławowych)

Przegląd prasy niemieckiej

TÄGLICHE RUNDSCHAU

Berlin (str. sowiecka).

W ostatnich dniach znaleziono na uniwersytecie w Erlangen ulotki z nadpisem „Front Narodowy — Ruch oporu młodych nacjonalistów". Ulotki zwracają się przeciwko zwolnieniu 76 profesorów nazistowskich i funkcjonariuszy uniwersyteckich.

W Neunburgu (Bawaria) rozlepiono nocą na murach kościoła i ratusza ulotki z następującą treścią: Skończcie z denazyfikacją, oddalcie antyfaszystowskich zbrodniarzy z ich stanowisk. Administrować tu powinni znowu nasi starzy urzędnicy. Na szubienicę z przestępcami trybunałów denazyfikacyjnych! Idźcie za przykładem Stuttgartu i Norymbergi, gdzie dokonano zamachów na te zbrodnicze gniazda antyniemieckie!

(Z artykułu wstępnego „Gniazda reakcji".)

Junge Welt

Berlin (str. sowiecka).

Z wielką troską śledzi niemiecka młodzież wysiłki, zdążające do rozbicia Niemiec na składniki i do spowodowania dalszych odstępstw granicznych, abstrahując od ustanowionych w Poczdamie granic tymczasowych. Jeśli nawet rozumiemy podejrzliwość narodów wobec demokratycznego rozwoju Niemiec — zwłaszcza że wielu mówców przeszłości w dalszym ciągu jest w posiadaniu niszczycielskiej władzy — to przecież gospodarczo słabe i politycznie pokawałkowane Niemcy mogłyby spowodować powstanie w Europie ogniska niepokoju, przez co osiągnęło by się coś wręcz przeciwnego, niż to, co rozsądek nazywa regulacją pokoju, niezależnie od tego, że taki rozwój niemieckiej młodzieży przekreśliłby wszelkie nadzieje na szczęśliwą przyszłość. „Wolna Niemiecka Młodzież" występuje zatem sama w obronie niepodzielnej demokratycznej republiki w interesie pokoju i rozwoju demokracji oraz w interesie młodej generacji. Podczas gdy przedstawiciele rządów Norwegii, Polski, Czechosłowacji, Jugosławii, Białorusi, Ukrainy i Unii Sowieckiej wypowiedzieli się za jednością Niemiec, istnieją w narodzie niemieckim siły, które dla egoistycznych interesów chcą wszelkimi środkami przeszkodzić niemieckiej jedności. Kto dzisiaj jako Niemiec skłania się do partykularyzmu, zdąża do ciemnego celu i chce demokrację obciążyć hańbą rozbicia Niemiec.

W tej godzinie zwracamy się do młodzieży niemieckiej, do wszystkich demokratycznych organizacji młodzieżowych naszej wspólnej ojczyzny, ażeby opowiedziały się za jednością Niemiec.

Zwracamy się do antyfaszystowsko-demokratycznych partii i organizacji z prośbą, ażeby we wspólnych obradach wypracowały dzieło konstytucji dla niemieckiej demokratycznej republiki, które będzie odpowiadało wymogom postępowej demokracji niemieckiej i które uwzględni zasadnicze prawa generacji młodych aż do obniżenia wieku wyborczego włącznie.

Przy tym jesteśmy zdania, że stosownie do swej treści postępowe konstytucje na wschodzie Niemiec mogą służyć za podstawę narad nad konstytucją niemieckiej republiki.

„Wolna Niemiecka Młodzież" wraz ze wszystkimi młodymi ludźmi, którzy odznaczają się dobrą wolą, wyraża życzenie, ażeby nam rok 1947 przyniósł niemiecki rząd, jedność naszego kraju i pokój.

Z wewnętrzną prawdomównością i świadomością własnej odpowiedzialności chcemy dla tego celu wspólnie pracować i działać.

Rada Centralna
„Wolnej Młodzieży Niemieckiej".

BADENER TAGBLATT

Baden-Baden (str. francuska).

„. . . Mogłyby nas zdziwić polskie i czechosłowackie memoranda przed łożone londyńskiej konferencji, które, z pełną słusznością można nazwać jako sensację, ponieważ żądają one zgodnie, w przeciwieństwie do mocarstw zachodnich, systemu centralnego w Niemczech, a więc państwa jednolitego. To zadziwiające stanowisko łączy się z równie zadziwiającym uzasadnieniem, kończącym się tym, że sfederowane Niemcy byłyby utrudnieniem dla kontroli aliantów i umożliwiłyby nowy „Anschluss". Polski tekst zawiera nawet opinię, że podstawa federacyjna przyczyniałaby się do odrodzenia niemieckiego nacjonalizmu w ramach poszczególnych krajów i do „Anschluss'u", ponieważ połączenie się z jedną niemiecką prowincją byłoby łatwiejsze, jak złączenie się z całymi Niemcami. Możemy sobie wyobrazić, że pozostali uczestnicy konferencji takim postawieniem sprawy i takim uzasadnieniem byli równie zdziwieni jak my . . .

Szermierze tego poglądu wydają się zapominać o starej, rzymskiej zasadzie „divide et impera", która do dziś dnia jest ważna. Należało by więc w propozycjach tych doszukać się innych celów, co nie wymaga zresztą dużego zachodu. Wiemy, że Socjalistyczna Partia Jedności w Berlinie, tj. praktycznie Partia Komunistyczna, od początku toczyła walkę o zasadę państwa jednolitego. Również Związek Sowietów popierał początkowo to stanowisko. Dopiero później nawrócił się stopniowo do federalizmu. Jeśli więc raptem bez poważnej przyczyny, obydwa słowiańskie państwa, Polska i Czechosłowacja, które zaliczają się do rosyjskiej sfery wpływów, rozpalają się do Zjednoczonych Niemiec, wówczas należy się w tym natchnieniu doszukiwać rosyjskich celów. Rozważanie to prowadzi do wniosku, że niedawne rosyjskie nawrócenie do niemieckiego federalizmu należy traktować jedynie jako manewr taktyczny, uważany przez Sowiety jako konieczny w ich turnieju z mocarstwami zachodnimi.

W ten sposób Rosja posługuje się tymi krajami, jako wysuniętymi placówkami w tej sprawie, aby czekać w rezerwie, jak zagadnienie to rozwinie się dalej. Już w tu rozważonych przeciwstawnych stanowiskach możemy ocenić trudności, na jakie napotyka sprawa uregulowania niemieckiego zagadnienia.

Było by zbrodnią wobec przyszłości Niemiec, gdyby odpowiedzialni niemieccy politycy stanęli na uboczu i nie wzięli udziału w rozważaniu zagadnienia. Nie za nazbyt często podkreślamy, że alianci tylko na to czekają, by poznać dokładnie stanowisko Niemców w tej sprawie, które winno beznamiętnie, kierowane tylko niemieckim interesem, rozważyć wszystkie za i przeciw poszczególnych stanowisk. Czy interes niemiecki wymaga państwa jednolitego? W naszych krótkich rozważaniach staraliśmy się dać uzasadnioną odpowiedź. Niespodziewana, wschodnia sympatia do tej formy państwa, winna nas tym bardziej nastroić krytycznie, skoro wiemy, że komunizm jakiegokolwiek znaku, ze swoimi tendencjami „glajszaltowania", będzie się starał o to, aby mieć do czynienia z możliwie centralistycznie rządzonymi Niemcami. Cała struktura jego ideologii wymaga władczo ujednostajnienia we wszystkich przejawach życia."

(Artykuł ten raz jeszcze potwierdza tezę o reakcyjności kół niemieckich we franc. strefie okupacyjnej.)

„Odra" powinna znaleźć się w każdej świetlicy!

ADAM CHĘTNIK

Od Łaby i Odry do Łabny i Narwi

Zdziwić może niejednego powyższy tytuł. Bo co może mieć wspólnego zachodnia rzeka **Łaba** (po niem. Elbe) z rzeką Narwią na rdzennym Mazowszu? A o rzece niewielkiej **Łabnie**, płynącej gdzieś pod Kolnem (nad b. granicą pruską, w pow. łomżyńskim), a wpadającej z wodami Pisy (Pisz) do rzeki Narwi (z jezior mazurskich) — na pewno mało kto słyszał. Tak samo i pod Kolnem mało kto pewnie wie, że na Pomorzu Szczecińskim — w pobliżu rzeki Łaby, jest znaczne jezioro **Łabno**, w swej starej nazwię nie wiele różniące się od **Łabny**. Przedmieście m. Kolna też nazywa się **Łabno**. Podobne również co do nazwy, jest m. **Łebno**, na Pomorzu Gdańskim (za Wejherowem). Trzeba wiedzieć, że analogie te nie są przypadkowe: i tu i tam znajdują się kresowe gniazda starej Słowiańszczyzny, a może Prasłowiańszczyzny; i w dorzeczu Łaby i Odry, jak również i rzeki Narwi z dopływami przed setkami i tysiącami lat musieli żyć mieszkańcy o jednakowej czy podobnej mowie i o tej samej pierwotnej kulturze, którzy na całym obszarze od Szczecina i Łużyc po środkową Wisłę i dorzecze Narwi nadawali jednakowe lub podobne nazwy rzekom i jeziorom, grodziskom, oraz setkom różnych wsi, osad i miast.

Stroje

W wydawnictwach Zachodnich, w książeczce pt. **Łużycom wolność** — w rozdziale dr. B. Stelmachowskiej o stroju łużyckim (str. 70 i 72) czytamy m. in., że gdy się znajdziemy w łużyckiej grupie tzw. Wojereców, to sądzić możemy, że „nagle znaleźliśmy się na Kurpiach". Przypuszczenia takie i podobne im nie są ani zbyt fantastyczne, ani niedorzeczne, jakby kto mógł pomyśleć.

Na ciekawe zjawisko etnologiczne, w którym różni badacze naukowi i pisarze dopatrzyli się analogii łużycko - kurpiowskiej zwracano już nieraz uwagę. Na kilka lat przed wojną — na zlocie wszechsłowiańskim „Sokoła" w Jugosławii — będący tam dziennikarze polscy zauważyli, obok innych, grupę jak się wydawało, Kurpiaków, w malowniczych gorsetach i uroczystych, ozdobnych czółkach na głowie. Przy zawarciu bliższej znajomości okazało się, że są to Łużyczanki z nad Łaby, z Górnych Łużyc. Dziennikarze byli mocno zdziwieni tym faktem, co podkreślili w swych sprawozdaniach ze zjazdu, ale głębszych konsekwencji z tego nie wyciągnęli.

W niektórych dawnych zeszytach „Wisły" widzimy w odnośnych pracach podobne zdziwienie, z przytoczeniem już dowodów i przykładów z etnografii. W Muzeum Narodowym w Pradze czeskiej przed ostatnią wojną m. in. można było oglądać stroje i barwne portrety Łużyczanek (np. obraz kolorowy ze znaczkiem katalogowym Nr 51), tak łudząco przypominający młodą Kurpiankę, że nie wierząc własnym oczom mimo woli zwróciłem się o bliższe wyjaśnienie do jednej z kustoszek; dowiedziałem się również wtedy, że jest to strój uroczysty dziewczyn z nad Łaby — Łużyczanek („katolicka niewiasta"). Pisząc o powyższym swego czasu artykuł w jednym z czasopism warszawskich (Pamiętnik Warszawski — pod red. W. Berenta, zeszyt 4, Warszawa, r. 1929, pt. „Ostatni Kurpie") i mówiąc o pochodzeniu ludowej grupy Kurpiów, zaznaczyłem m. in., że lud kurpiowski w podstawowej swej masie jest szczątkiem Słowian Zachodnich (może częściowo i górno-łużyckich) z okresu największego nacisku fali germańskiej z zachodu i północy na wschód; pierwotna ta jakaś grupa wtłoczona była w bezpieczne puszcze nadnarwiańskie, a może częściowo między pruso - wschodnie jeziora, z domieszką np. niektórych grup lechickich z nad Gopła i Pomorskich (np. Słowińców, Lutyków). Czy tak naprawdę jest — trudno orzec ostatecznie, ale zdaje mi się, że w przypuszczeniach swoich mam dużo racji.

Drugim nawarstwieniem tejże ludności byliby dawni Mazowszanie (Mazurowie), o których mamy wzmianki już u latopisów ruskich (w w. XI — Nestor) z terenów lewobrzeżnych rzek Narwi, dolnego Bugu i środkowej Wisły, trzecim zaś — zbiegowie przed pańszczyzną z dalszych dworów, którzy stąd uciekali przeważnie na bliższy Zachód.

Mazurowie i Kurpie

Rozradzająca się w lesistym Mazowszu ludność mazurska zaludniała również Mazowsze pruskie, (od wieku XIII) zamieszkane tylko częściowo przez autochtonów pochodzenia tego, co tzw. „Stare Mazury" i Kurpie. Jedyne w swym rodzaju narzecze kurpiowsko - mazursko - pruskie ma podkład — zdaje się — czysto mazursko - mazowiecki (wedle prof. Nitscha i innych), z domieszką może jakiegoś narzecza starosłowiańskiego z północy lub zachodu, a w swej czystej i pierwotnej formie przetrwało od Narwi (częściowo i dolnego Bugu) do pruskich jezior i Olsztyna prawie do ostatnich czasów.

Obszary leśne na zachód od Narwi i w okolicach pruskich jezior zaludniły się ostatecznie zbiegami przed pańszczyzną — ze wschodu i południa — jak to widzimy z akt Sejmików łomżyńskich — z w. XVII i XVIII.

Jeżelibyśmy wzięli za podstawę do pradziejów Słowiańszczyzny twierdzenie prof. J. Czekanowskiego, że „najlepiej zachowanych Słowian pierwotnych należałoby szukać w środkowej części dorzecza Wisły, na wschód od Kujaw"... (Człowiek w czasie i przestrzeni str. 137, 1934), to musielibyśmy tu wziąć pod uwagę tak zwane **Stare Mazowsze** (podług A. Zakrzewskiego „Wisła", 1900 — i innych), gdzie ludność, zwana od dawna „Starymi" (zn. pierwotnymi) Mazurami — w pasie od środkowej Narwi (d. ziemia Łomżyńska i Wiska), po przez dawne ziemie: Nurską, Rożańską, Ciechanowską, Mławską, Zakroczymską i Wyszogrodzką — po ziemie b. wojew. Płockiego, gdzie najwięcej chyba zakonserwowała się dawna polskość, a (według tegoż profesora) tamże w Nasielskiem lud zaściankowy (drobna szlachta) to „najbardziej" typowi Słowianie. Ludność ta od tysiącleci zamieszkała na lesistych przeważnie obszarach, mogła również wyładowywać swą ekspansję kolonizacyjną na północ i zachód (na wschód na pewno), a nawrót przed późniejszą falą germańską mógł być już wtórnym zjawiskiem. Wraz z powrotną falą Mazowszan (Starych Mazurów) mogły cofać się i inne grupy słowiańskie z zachodu i północy.

W grupie Starych Mazurów — tych najwięcej pierwotnych osadników Mazowsza — poczesne miejsce zajmują Mazurzy leśni (Puszczaki), zwani przez różnych sąsiadów Kurpiami lub Kurpikami. Zajmowali oni początkowo wybrzeża licznych rzek i jezior, w pobliżu lasów i puszcz, a z czasem i same puszcze, a gdy było im za ciasno — płynęli na drążonych krypach i czółnach, lub wędrowali pieszo wzdłuż Narwi i jej dopływów. Tak powstały dalsze osiedla: w. Skurpie (z Kurpiów) w pow. Działdowo (Maz. pruskie); w. Kurpiki w górę Narwi za Wizną; w. Kurpiki nad rzeką Biebrzą w Suwalskim itd. Na lewym brzegu Narwi jest wieś Kurpie (dawna nazwa **Kurpie Stare** — wedł. Słownika Geogr. i innych) — dziś Stacja Kolejowa między Ostrołęką a Łomżą, na odcinku Mazowsza zwanego dawniej „na Starych Kurpiach". U Kurpiów jeszcze więcej, jak wśród reszty Starych Mazurów, pozostało dowodów rzeczowych ich starej i w wielu wypadkach odrębnej kultury plemiennej słowiańsko- zachodniej. Granicą tej starej (nie pisanej) kultury na wschodzie jest rzeka Narew z dopływami, między którymi wspomniana Łabna jest już na kresach północno-wschodnich, omawianych resztek zamierzchłej kultury Kurpiów z nad Narwi i dolnego Bugu.

Na całym obszarze, od naszego Zachodu i Północy do dorzecza Narwi i dolnego Bugu, obok cmentarzyska wielu starszych kultur różnych grup i szczepów słowiańskich widzimy całą masę przykładów, mówiących nam o wspólnocie plemiennej i kulturowej tych grup ludowych i szczepów (podł. W. Bogusławskiego i in.).

Osiedla i nazwy

A teraz nieco przykładów:

Najstarsze osiedla starosłowiańskie — przeważnie obronne — na obszarach słowiańskiej Polski nazywano **grody** albo **grodziska**. Były to w większości dość wysokie wzgórki lub sztuczne nasypy w pobliżu wody **ogrodzone** ostrokołem — stąd nazwa. Takich opuszczonych lub zapomnianych grodów mamy jeszcze u nas sporo — na północy czy zachodzie, a przede wszystkim na starym i pruskim Mazowszu. Niektóre z czasem rozrosły się w ludne osiedla i pozostały ze starymi nazwami — jako pewnego rodzaju zabytki starosłowiańskie — do naszych czasów. Tak więc na Zachodzie (na Pomorzu szczecińskim) mamy miasta i osady: Staro**gród**, Biało**gród**, (Białygród), Nowo**gród** itp., oraz również Nowo**gród** w pobliżu granicy Łużyc nad rzeczką Bobrawą (lewy dopływ Odry). Wszystkie nazwy podług dawnych map polskich, niekorzystnie dla nas przerabiane dziś na różne Staro i Nowo- „gardy". Jak na wspomnianym Zachodzie, tak mamy również Nowo**gród** nad Narwią (na przeciw ujścia rzeki Pisy z jezior mazurskich, na tzw. dawniej Starych Kurpiach); mamy jeszcze Wyszo**gród** nad Wisłą w Płockim, wieś Nowo**gród** tamże (oba na Starym Mazowszu) i Raj**gród** — na krańcu północo-wschodnim Mazowsza (na granicy z Podlasiem). Niewątpliwie Nowo**grody** powstały przed wieloma setkami lat na miejscu zniszczonych przez wojny starych grodów obronnych. Również m. Czersk na Pomorzu i Czersk pod Warszawą nie są to rzeczy tylko przypadkowe!

Poza tym w dorzeczu Narwi (przede wszystkim), dolnego Bugu i środkowej Wisły (Mazowsze Stare) mamy całą masę nazw osad i miejscowości, których identyczne lub podobne odpowiedniki mamy w części Kujaw i Wielkopolski, oraz na ziemi pomorskiej Szczecin — Kołobrzeg i w dorzeczu Odry i Łaby — nad Nysą i Szprewą. Tak samo nazwy wsi i osad na Mazowszu pruskim i Warmii w olbrzymiej masie są identyczne lub pokrewne z podobnymi nazwami w ziemi Kurpiów i w dalszych powiatach dorzecza Narwi. To koloniści z tych stron nadali nazwy opuszczonych wiosek nowo zajętym osiedlom (wg Kętrzyńskiego i innych), tak jak to robili ostatnio nasi emigranci w Ameryce.

Słowiańskie bartnictwo i inne przykłady

Na obszarze od puszczy Tucholskiej (pom. Gdańskie) do puszczy Jańsborskiej (Piskiej) w pruskim Mazowszu kwitło w dawne lata słowiańskie bartnictwo na barciach leśnych, jak to było niedawno nad Narwią i dolnym Bugiem. Rzecz znamienna, że Kurpie regulowali swe sprawy i troski życiowe przy pomocy tzw. Prawa Bartnego (spisanego pierwszy raz w r. 1559), według opinii dawnych badaczów, pochodzącego z odległych czasów piastowskiej Polski (Przyborowski, Zakrzewski, Czajewski). Znamiona, którymi znaczono drzewa bartne, dały zaczątek późniejszym herbom szlacheckim w Polsce (wedł. prof. B. Namysłowskiego), co by przekreślało obce pochodzenie tych herbów. Dawne bartnictwo i jego ciekawe ustawy zostały skasowane przez rządy zaborcze w r. 1840.

U Kurpiów, u Mazurów w Przasnyskim i dalej do niedawna jeszcze zwoływano zebrania wioskowe (i dawniej wiece) zabytkiem po starosłowiańskich wiciach tzw. **kulą** (zakrzywioną rozmaicie grubą laską), która była znana również u Mazurów pruskich (kula, kluka itp.) i hen dalej aż u Łużyczan („heja" — podł. „Wisły" 1892, t. VI, str. 917 itd.). Jak u nas nad Narwią, tak na Mazowszu pruskim i Pomorzu pięknym jest zwyczaj „Plonu" po skończonych żniwach, zwany w innych częściach Polski dożynkami itp. U Łużyczan do ślubu na czele orszaku jedzie „braszka" — drużba, za nim pan młody ze „swatami", dalej wóz z muzykantami, w końcu wozy z kobietami i dziewczętami; drużba przeważnie konno (widzimy to w kalendarzach łużyckich) — wszystko niemal do ostatnich czasów znane w dorzeczu Narwi i dalej na całym Mazowszu, w Krakowskiem itp. Wiele pokrewnych sobie zwyczajów weselnych, rodzinnych, gromadzkich i innych znajdziemy od Odry i Szprewy po przez Pomorze i Wielkopolskę aż do Mazowsza.

Również w pracach autorów niemieckich, w różnych monografiach okolic z nad Łaby i Odry itd. pozostałości po naszej kulturze słowiańskiej jest dużo. Skrzętnymi tymi pracami wyświadczyli nam oni teraz wielką przysługę. Bo weźmy tylko np. nasze **budownictwo drewniane** ludowe: budowa dawniej w słupy, a później powszechnie w węgieł, szczyt do ulicy ozdobnie obijany deseczkami w „łamane" ornamenty, podobnie zdobione drzwi wejściowe, ozdoby rzezane z tarcic nad oknami, ozdobnie wycinane belki szczytowe i oryginalne zakończenie wierzchołku szczytu w kształcie rogów, łbów ptasich lub końskich itp. — wszystko to jest charakterystyczne (jak widzimy z dzieł niemieckich) dla budownictwa ludowego na całym obszarze Słowiańszczyzny północo-zachodniej. Wiele rysunków chat i motywów zdobniczych (z drzewa) jakby jedna ręka wykonywała. Fotografie niemieckie chat z Mazowsza pruskiego lub spod Szczecina są jakby żywcem wzięte spod Łomży czy Ostrołęki. A przecież autorowie nie wiedzieli o sobie i nie znali się wcale! Wszystko to świadczy dobitnie o wspólnym pochodzeniu i rozwoju budownictwa wsi polskiej tych ziem i grup etnicznych zachodnich, rozwijających się jednakowo na wspólnym podłożu kultury słowiańskiej w dalekiej już przeszłości.

A teraz weźmy strój, jaki do niedawna był, a częściowo i jest u dziewcząt na Łużycach Górnych (w grupie Wojereców) i jaki pozostał do dziś w okolicach Myszyńca wśród Kurpianek (pow. ostrołęcki). Są to barwne spódnice (kitle), gorsety i charakterystyczne na głowach „czółka" z pęczkiem sztucznych kwiatów i barwnych wstążek. W stroju takim, używanym tylko od święta, a u Kurpianek i do ślubu — Łużyczanki i Kurpianki wyglądają niemal jednakowo. Co za ciekawy fakt dla wspólnoty słowiańskiej — od Łaby do Narwi! Zaznaczę w tym miejscu, że niektórzy porównywują wspomniane czółko z tzw. „kokosznikiem" ślubnym na wschodzie, ten jednak strój jest pochodzenia bizantyjskiego, czółko zaś słowiańsko-zachodniego. Były też dawniej ozdobne czółka u Wielkopolanek (podł. Stan. Strojnowskiego „Ziemia i jej mieszkańcy", W-wa, 1883, t. II) i dawniej u Warmiaczek. Dodam też, że barwny gorsecik u Kurpianek myszynieckich nazywa się „wystek" (od West — zachód).

A więc wspólnota...

Trudno jeszcze z czółka itp. wysnuwać jakieś głębsze wnioski co do omawianego pokrewieństwa plemiennego, niemniej jakiś związek i to słowiański jest widoczny. Dalsze badania z etnografii i nauk pokrewnych ułatwią rozwiązanie tego zagadnienia. Niemniej jednak można już przypuszczać, że znaczna część Słowian, rozbita na Zachodzie przez najazdy plemion germańskich, a przede wszystkim Niemców, zawsze nam wrogich — w znacznej mierze wtedy wytępiona, **była przed wiekami zwartą masą, o jednakowej lub zbliżonej kulturze materialnej i społecznej** i w znacznej mierze duchownej, oraz częściowo zróżniczkowanej mowie o różnych lecz pokrewnych dialektach. Resztki tych rozbitków z Zachodu i Północy mogły osiąść nad Narwią i po zmieszaniu się z grupą leśną Starych Mazurów, wytworzyły późniejszy lud kurpiowski.

Śladów naocznych omawianej wspólnoty mamy dużo. Liczne w dorzeczu Narwi i dalej na zachodzie okazałe grodziska świadczą same za siebie. Trzeba je szanować i cenić, bo to niezbite dowody naszego bytowania na tej ziemi od zamierzchłych czasów. Również ślady kultury „łużyckiej" przedhistorycznej, o której pisał tyle prof. Kostrzewski, są i nad środkową Narwią, świadczyły o tym znajdywane szczątki ceramiki, przęślice, narzędzia rogowe itp. (W zbiorach Stacji Naukowej w Nowogrodzie n/Narwią, do wojny). Na parę lat przed II w. wojną wyciągnięto z podmytych brzegów Narwi (pod Ostrołęką), na 3 m. pod zwykłą powierzchnią olbrzymie statki, drążone z pni dębowych (zczerniałych od długiego przebywania w wodzie), do 13 m długie i do 1,10 m średnicy w dobrym stanie. Podług przesłanych fotografii prof. Kostrzewski orzekł, że są to statki presłowiańskie i pochodzić mogą z tych czasów, co i głośny dziś Biskupin. Statki w wojnę przepadły, ocalała część zdjęć fotograficznych.

Troska uzasadniona

W związku z kulturą łużycką w dorzeczu Narwi, otwiera się tu nowe pole do pracy naukowej dla archeologów. A trzeba wiedzieć, że prawie wszystkie nowsze (od wczesnohistorycznych) osiedla w dorzeczu Narwi środkowej pobudowane są w pobliżu lub też na starych grodziskach i osiedlach z neolitu i nawet paleolitu (okresy „kamienne"). Ślady te są zbyt widoczne, a wprawne oko wszędzie nad rzekami tej części Mazowsza znajdzie materiał naukowy do studiów i porównań.

Praca naukowa w dorzeczu Narwi dążyła do rozwiązania odwiecznych zagadek, związanych z naszym prawem do ziem, z których nas przed setkami lat wypierał wróg. Wszędzie na Zachodzie dawna kultura nasza plemienna prawie przepadła, pozostała tylko jeszcze **zakonserwowana w nadnarwiańsko-mazowieckich osiedlach** — w borach i puszczach, a knieja kurpiowska — do niedawna bez dróg i dostępu w jej głębie — była przez ostatnie stulecia jakby **naturalnym rezerwatem**, w którym przechowywał się bez zmian niemal — cały jakby dorobek przyszłych pokoleń: a więc najpierw tych najbliższych ziem, wyjałowionych już przez cywilizację miejską; mazursko-pruskich, uciskanych i wynaradawianych przez Niemców — i dalszych — od starego Pomorza, od Słowińców i Lutyków, od Lechitów i częściowo Połabian — po których starej kulturze plemiennej nie wiele śladów i dowodów pozostało. I badając dziś resztki kultury Słowian północno-zachodnich nie możemy tego dokładnie zrobić, bez zapoznania się **z całokształtem zjawisk dawnej kultury ludowej** (nie pisanej) na Starym i pruskim Mazowszu, a więc przede wszystkim **wśród Kurpiów** (puszczaków) i **Mazurów pruskich.**

Z tego rezerwatu kurpiowskiego i staro-mazurskiego czerpano garściami przez całe lata. Dużo z tego przepadło bezpowrotnie. W czasie okupacji prace badawczo-naukowe i pisarskie na powyższe tematy prowadzone były bez przerw w ramach akcji podziemnej w fatalnych nieraz warunkach. Po wojnie prace zostały rozpoczęte (1945) dzięki pomocy Ministerstwa Oświaty. Ale na dalsze jej kontynuowanie, a tymbardziej na druk prac już przygotowanych brak jakichkolwiek środków. Stąd niektórzy sądzą, że w tej dziedzinie „nic się nie robi". A za parę czy kilka lat już nie będzie pewnie co zbierać i opracowywać z tych dziedzin, a nie będzie może i komu, gdyż w młodszym pokoleniu jakoś nie widać zainteresowania w kierunku pracy i dążeń zbyt romantycznych, jak na powojenne, więcej wyrachowane i trzeźwe czasy.

Adam Chętnik

Znaki polskie na zabytkach architektury Ziem Odzyskanych

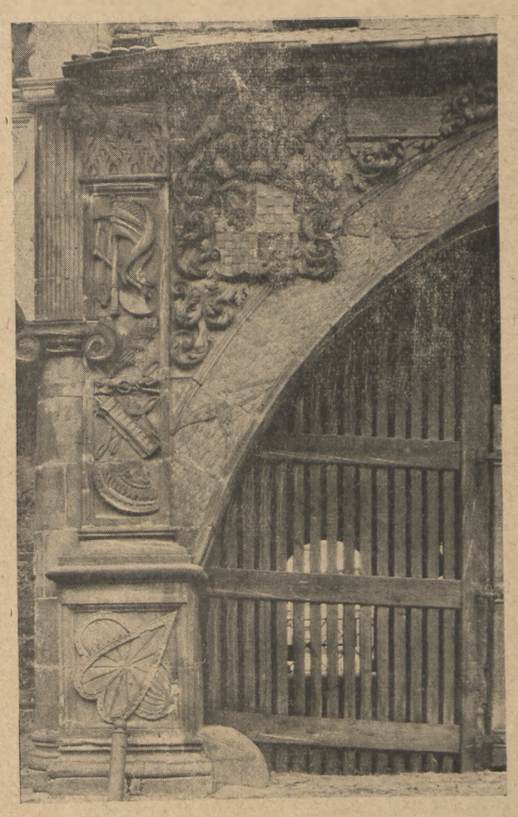

Fragment Zamku Piastowskiego w Brzegu w trzech kolejnych zbliżeniach.

Fotografie ze źródeł polskich.

Niemiec o Niemcach

JEST to dla Niemca rzeczą nad wyraz trudną i bolesną, jeśli z całą stanowczością zaprotestować musi przeciw tej wciąż jeszcze nazbyt rozpowszechnionej iluzji, jakoby rozróżniać należało pomiędzy Hitlerem a ludem niemieckim, pogwałconym rzekomo przez mniejszość zdecydowanych na wszystko terrorystów. Iluzja ta w najwyższym stopniu niebezpieczna. Sam Hitler nazywał lud niemiecki „stadem baranów". Goethe zaś powiedział: „Lud — to ta część narodu, która nie wie czego chce". Definicja ta, jeśli chodzi o Niemcy, jest bezspornie trafna.

Wszyscy, co prawda tylko nieliczni Niemcy, którzy widzą jasno całą rzeczywistość, są zupełnie bezbronni wobec przemocy fałszywych pojęć, którymi już od wielu dziesiątków lat kierownicze sfery niemieckie karmiły lud, dopóki go w sposób prawdziwie godny nie spreparowały tak, że stał się on zdolny do przyjęcia wszystkich podawanych mu kłamstw. W tym sensie żaden jeszcze wódz nie był nigdy tak bardzo przez swój lud „uprawomocniony" i zaaprobowany jak Hitler, którego idee kierownicze już od stu lat nurtują i fermentują w narodzie niemieckim. Jak słabe natomiast były siły obozu przeciwnego, dowodzą właśnie olbrzymie powodzenia tego Führera.

Już Wilhelm II był wiernym odbiciem pychy narodowej, która wypełniała nie tylko niemieckie sfery kierujące, lecz przenikała także do „wszystkich warstw średnich". Ducha tego w zadziwiający sposób zdołał spopularyzować w narodzie Bismarck. Jego reakcja na losy niemieckie stanowi najpospolitszy i najprymitywniejszy typ reakcji, — taki, z jakim spotykamy się zawsze, ilekroć chodzi o ludzi, znajdujących się w głęboko niewyklarowanym stanie ducha. Hitler „unarodowił" tę pospolitość w takim zasięgu i stopniu, iż tylko niewielu Niemców uchronić się zdołało przed systematycznym wpływem owej ideologii, będącej w gruncie rzeczy tylko ostatecznym wyrazem stanu duchowego, który zaczął się już za Bismarcka, a raczej, sięgając jeszcze dalej wstecz, za Fryderyka Wielkiego, — zaś większość podlegała oddziaływaniu niemieckiej myśli politycznej, opartej na działaniu przez najbardziej ordynarne instynkty.

Wszak to, co najbardziej uderzało np. w Wilhelmie, a co najdrastyczniej charakteryzuje cały niedorozwój dziejowy, to to, że nawet natury wysoko stojące pod względem duchowym lub artystycznym oraz osoby wręcz genialne, zachowywały się zawsze w dziedzinie politycznej jak zwyczajni bandyci i łotrzykowie. Dla tak zwanych „Nowych Niemiec" bowiem cała polityka była, żeby tak rzec, jednym wielkim rezerwatem idiotyzmu i nic tak do gruntu nie zepsuło i nie skaziło niemieckiego geniusza, inteligencji i charakteru, jak ten właśnie jak gdyby związek małżeński najwyższego z najpospolitszym. — Cały ten bezwstyd niemieckiego chamstwa politycznego pochodzi stąd właśnie, że najwięksi w narodzie świecili pod tym względem przykładem, a kaznodzieje narodowi, gdy udawała się jakaś zbrodnia polityczna, głosili ludowi: „Bóg sprawił, że stał się cud" —

Dziś rezultaty tego stanu rzeczy leżą jak na dłoni, budząc w całym świecie przerażenie. Jeżeli kiedyś nastąpi nowa katastrofa wojenna, wówczas naród niemiecki będzie znów jak ongiś maszerować w zwartych szeregach, żywiąc w duszy głębokie przekonanie o niemieckim niewątpliwym prawie i spisku całego świata przeciwko temu właśnie prawu. — Gdyby zaś Niemcy doznali klęski, choćby najstraszniejszej, po której zastosowanoby wobec nich te same zasady co w latach 1918—19, wówczas zaczęłaby się z ich strony znowu ta sama gra co dawniej, a w świat puszczonoby znowu to samo nieśmiertelne kłamstwo o „uporczywym odmawianiu Niemcom niezbędnej dla nich przestrzeni życiowej". — Jakież to są zatem owe nowe zasady, które należałoby w takim wypadku zastosować wobec Niemiec? Jest to dla nas rzeczą nad wyraz ciężką, lecz my, którzy jesteśmy niestety w sprawie tej „wiedzącymi", uważamy za swój obowiązek bez żadnych złudzeń i ogródek — dać wyraz następującym swoim przekonaniom.

Twierdzimy tedy, że naród niemiecki będzie można wówczas uleczyć ze wszystkich straszliwych następstw oficjalnej propagandy kłamstw oraz z trwającego prawie sto lat obłędu i kultu przemocy, jeśli z żelazną konsekwencją odebrana mu będzie wszelka możność rozpoczęcia na nowo starej swej gry, co będzie się mogło stać jedynie za pomocą całkowitego rozbrojenia, pełnego uświadomienia narodu niemieckiego, podyktowania mu pokoju, niemiłosiernego zniszczenia centralizmu pruskiego i zastąpienie go federacją krajów włączonych do ogólnej federacji państw europejskich, a wreszcie za pomocą podania jak najsurowszej kary wszystkich niemieckich katów ludzkości (aż nadto znanych swym ofiarom) oraz za pomocą skazania na dożywotnie wygnanie tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób będą mogli być poczytani za współodpowiedzialnych za karalne postępki rządu niemieckiego. Tego wszystkiego wymaga zarówno moralna godność reakcji, niezbędnej wobec całego bandytyzmu, jak też konieczność naprawdę gruntownego zabezpieczenia całego kulturalnego świata przed tym zupełnie szalonym zmartwychwstaniem prymitywizmu.

Co prawda owa restytucja ładu i bezpieczeństwa nie będzie się mogła dokonać wyłącznie za pomocą środków politycznych. Nowy federacyjny system Europy wymagać będzie podobnie jak w średniowieczu oparcia na głębokiej podstawie religijnej, albowiem stosunki międzyludzkie, nie oparte na stosunku człowieka do Boga, pozostaną na zawsze niepewne i zmienne, w zależności od interesów. A cóż dopiero jeżeli chodzi o taki ogrom zagadnień jak wina, przebaczenie i zapomnienie krzywd? Zagadnienia te rozważać można jedynie ze stanowiska chrześcijańskiego. Toteż sam pacyfizm nie zdołałby uleczyć tak głębokiego załamania się i rozbicia ludzkości."

My, Polacy jesteśmy szczególnie zainteresowani losem narodu niemieckiego. Niepokojeni, napadani i prześladowani wiekami, ogniem i mieczem, kłamstwem i oszczerstwem, dożyliśmy nareszcie wiekopomnego powalenia potęgi pruusko-niemieckiej. Żołnierz polski wkroczył do Berlina jako zwycięzca, a dzisiejsza granica zachodnia Polski jest znowu zgodna z zachodnią granicą Piastowskiej Polski macierzystej Bolesława Krzywoustego.

Stoimy obecnie przed dalszym zagadnieniem, nad którym głowią się mocarstwa świata i wszystkie inne narody, zagrażane w historii przez naród niemiecki. Jaka będzie przyszła Rzesza niemiecka, jaki będzie jej ustrój, jak potoczy się reedukacja tego narodu sprusaczonego? Czy mentalność Niemiec zmieni się tak dalece, że będą oni mogli być wartościowym i pewnym członkiem narodów Europy i świata?

Studium psychiki narodu niemieckiego jest jednym z podstawowych czynników na drodze do zmian w mentalności niemieckiego obywatela.

Warto więc zapoznać się z opinią tak wykształconego i szczerego demokraty niemieckiego, jakim był już przed II wojną światową prof. F. W. Foerster. Na obczyźnie napisał on jeszcze przed 1932 r. książkę „Niemcy a Europa", z której podajemy następujący urywek, dający tak trafny sąd o narodzie niemieckim. Wartość tej opinii jest tym większa, że prof. Foerster pisał swe słowa nim Hitler wyruszył na podbój Europy. Słowa prof. Foerstera wymagają głębokiego przemyślenia.

K. Czarnecki

HENRYK WORCELL

III)

ODWET

— Ja myślę, że lepiej nie czekać do jutra —rzekł do sołtysa — najlepiej zaraz ich zawiadomić.

Sołtys ujął za słuchawkę:

— Hallo! Posterunek milicji? Tu sołtys z Ptakowic. To pan, panie komendancie? Czy może pan przysłać jutro ze dwóch ludzi? Znaleźliśmy dziś u Wolffa rewolwer, ale on podobno ma jeszcze karabin. Trzeba trochę poszukać i wziąć Wolffa w obroty. No i przy sposobności może by załatwili tę sprawę z Kunzem. To czekamy jutro. Czołem.

— No, to Marduła jutro zemdleje — zaśmiał się Kobuz. — On się okropnie tego Wolffa boi. Dziś, jakeśmy do niego szli, to wybiegł naprzeciw nas i aż ręce składał: „panowie, bójcie się Boga, lepiej dajcie mojemu Niemcowi spokój, bo on mnie w nocy zadusi".

— Ale słuchajcie! — zawołał sołtys — powiem wam nowinę: wnet się zacznie wysiedlanie Niemców.

— Ale! Co pan mówi! Kiedy, kiedy? — rozległy się ze wszystkich stron pytania.

— Prawdopodobnie od połowy lutego.

Opaliński przeskakując wzrokiem z twarzy na twarz najdłużej zatrzymał się na sekretarzu, ale nie mógł przyłapać jego wzroku, ani wyczuć jego myśli.

— Kto ci to mówił? — zapytał sołtysa. — Może to plotka?

— Plotka, plotka — obruszył się sołtys — Broniewski był wczoraj w starostwie, a on tam ma znajomego urzędnika i ten mu powiedział.

— Panowie! — zawołał sekretarz wstając z krzesła. — Ja wam radzę, niech ta wiadomość zostanie między nami.

— A poco robić z tego tajemnicę? — zapytał Stopka.

— Bo jak się Niemcy dowiedzą, to już nic nie będą chcieli robić.

— Głupstwa gadasz — przerwał mu sołtys. — Niemcy już wiedzą. Dziś ten szewc, Mocek, spotkał mnie i prosił, żebym mu napisał podanie o uzyskanie obywatelstwa. Nareszcie się namyślił. A w ogóle między Niemcami ruch się jakiś zrobił. Wiedzą, na pewno wiedzą.

— Oczywiście, że wiedzą — przytaknął Stopka — pomyślcie, że tajemnice wojskowe się wykrywają, a co tu mówić o takim masowym wysiedlaniu. Przecież do tego trzeba przygotować cały aparat urzędniczy i kolejowy, a tego się nie da ukryć.

Opaliński nachylił się ku żonie:

— Geniu, pójdziemy już.

— Oj, tak prędko? Chciałam jeszcze z Baśką o czymś pomówić.

Podniosła się jednak i zaczęła zapinać płaszcz, ale upłynęło może dziesięć minut, zanim się z wszystkimi pożegnali i wyszli na ulicę.

Wysoko, ponad czarną koronką lasu świecił półksiężyc i sypał drobne iskierki po śniegu, a w dole, tuż przy drodze, lodowato dzwonił potok. Opalińskiemu drobna postać żony wydała się w tej chwili groźną, niecącą niepokój między niebem a ziemią: zapragnął nagle, żeby się odezwała, żeby powiedziała cośkolwiek.

— Och, Stefku, jak zimno! Przyjdę do domu, to zaraz się kładę do łóżka.

— A wiesz Gieniu, trzeba będzie list napisać do siostry i szwagra.

— Acha, właśnie ja to samo myślałam. Co to jest, że my tak często o tym samym myślimy? Tylko, że ty mnie zawsze uprzedzisz, zawsze powiesz pierwszy. Tak, trzeba do nich napisać, żeby przyjeżdżali.

— Och nie, jeszcze czas. Na razie niech się przygotują do drogi, a gdy będzie wysiedlanie, damy im telegram. No, nareszcie, nareszcie coś się zapowiada!

Od strony górnej wsi zbliżała się ku nim jakaś kobieta. Poznali ją dopiero, gdy się znalazła tuż przy nich.

— Aaa... pani Mikułowa... Dobry wieczór!

— Dobry wieczór! Czy mój mąż jest u sołtysa?

— Owszem, jest.

— Chwała Bogu, myślałam, że u piekarza. Ale pewnie tam piją?

— Tak, potrochu.

— Ja mu zaraz pokażę! Co ja już z nim mam, to państwo pojęcia nie macie — odwróciła się i oddaliła w kierunku domu sołtysa.

Opalińscy uszli jeszcze kilkaset kroków i skręcili na drogę wiodącą ku ich „Pustkowiu". Z tego miejsca domu jeszcze nie było widać, tylko gładkie śnieżne pole na stokach wzgórz i las otaczający dolinę, jakby czarnym parkanem.

W tej chwili stało się coś dziwnego.

Gdzieś w pobliżu nich bzyknęło coś jak wściekła osa, przeraźliwy huk zapełnił wąwóz — zdawało im się, że wewnątrz nich buchnął wielki płomień i poraził im gardła.

Pierwszy oprzytomniał Stefan. „Śmierć". Zorientował się, że strzał padł z lewej strony, z wielkiej kępy zarośli, czerniejącej nad urwiskiem sąsiedniego wąwozu, tam bowiem błysnęło światło.

— Biegiem! — krzyknął chwytając żonę za rękę.

Znowu błysk i: bzzz... trach!!

Stefanowi wpadła niedorzeczna myśl: zawrócić i biegiem pędzić ku czarnej kępie zarośli — i druga myśl: paść na ziemię i zasłonić sobą Genowefę — ale nogi zdecydowanie robiły swoje: gnały co sił ku stromej szkarpie wąwozu i tam dopiero zwolniły biegu. Ziejącej śmiercią kępy nie było już widać, ale Genowefa ciągle rwała naprzód ciągnąc Stefana za sobą.

— O Matko Najświętsza, ratuj nas, o Matko Najświętsza, ratuj... Uciekajmy, uciekajmy. — Zapewne nie zdawała sobie sprawy, że tam dalej kończy się szkarpa i że znów muszą wyjść na otwartą przestrzeń, z której widać złowieszczą kępę.

Ale więcej strzałów nie padło. Gdy przybiegli pod dom, w piersiach i w tchawicach czuli piekący żar, jakby od siarki, a w skroniach huczące tętno krwi. Musieli odpocząć. Milczeli. Księżyc zalewał wąwóz upiornym blaskiem, czarne zarośla, widniejące w dali, zdawały się poruszać i nabrzmiewać jak olbrzymia gąbka.

— Och, Stefan, nigdy już tamtędy nie pójdę, nigdy, nigdy.

Stefan czuł się do głębi upokorzony, zdawało mu się, że w milczeniu Genowefy tkwi pogarda, i wcale by się nie zdziwił, gdyby usłyszał od niej słowo: „tchórzu". To prawda, że z chwilą, gdy tam w dole padł strzał, musiał uciekać, nic innego nie mógł zrobić. A jednak... Powinno być odwrotnie: on powinien być tam, w zaroślach, i strzelać do kogoś, a ten ktoś powinien uciekać. Wtenczas wszystko byłoby na swoim miejscu.

— Nigdy już tamtędy nie pójdę, nigdy — powtórzyła Genowefa.

Stefan pogłaskał jej rękę.

— No, Gieniu, spokojnie, spokojnie... To nie było tak, jak ty myślisz. On nie strzelał do nas.

— Och, Stefku, nie do nas... Kula mi bzyknęła koło samej głowy!

— To się tylko tak wydaje. Kula szła znacznie dalej. On nie strzelał do nas, on strzelał koło nas.

— W takim razie poco, poco strzelał?

— Nie wiem. To już jest trzeci wypadek w naszej wsi. Do sołtysa też strzelali i do Stopki też strzelali, ale ich nie trafili. Jestem pewny, że nie chcieli trafić. Pomyśl, że na wypadek zabójstwa do wsi zjeżdża cała milicja, aresztowania, represje i tak dalej. Te strzały, to tylko postrach, ostrzeżenie.

— Może jest tak, jak mówisz, ale ja już tą drogą nie będę chodziła. Wolę chodzić otwartym polem prosto na kościół. Chodźmy już.

Przy bramie zatrzymała się, by jeszcze raz popatrzyć na wąwoz. Patrzyła długo, długo, na twarzy jej odbił się jakiś wielki, wewnętrzny wysiłek — zapewne nie mogła czegoś zrozumieć, pojąć do ostatka. Wąwoz swą ciszą i bezruchem więził jej zmysły — nie mogła z niego wyjść, zostawić go bez siebie, skazać na nieistnienie.

Stefan czekał na nią przy furtce i był już trochę zniecierpliwiony.

— No, chodź już Gieniu, nikogo tam nie wypatrzysz — przepuścił ją naprzód i zaryglował furtkę. — Ty idź prosto na górę, a ja wstąpię do kuchni — powiedział wchodząc do sieni.

— Ja też pójdę z tobą.

— Dobrze, ale o tym nic nie wspominaj.

Z ciasnego korytarza, który łączył sień ze stajnią, wyszła Lucy niosąc puste wiaderko.

— Czy Paul jest w domu? — zapytał ją Stefan.

— Tak, jest w kuchni.

Stefan przez chwilę namyślał się, wreszcie zdecydowanie otworzył drzwi. Szybkim spojrzeniem przeleciał po twarzach trzech kobiet: stara Hattwigowa stała przy piecu, pod świecącą się żarówką, oczy jej zapadnięte i podkrążone, wydały się w cieniu jeszcze bardziej mroczne i smutne. Liza, która w tej chwili skoczyła przepuszczać mleko przez wirówkę, łypnęła białkami oczu gdzieś ponad piec i schyliła się ku wiadrom. Greta siedziała tyłem do drzwi i szyła coś na maszynie, ale nie obejrzała się.

— Gdzie jest Paul? — zapytał Opaliński.

— Tam w pokoju — wskazała stara na uchylone drzwi za piecem — Paul, chodź tu, pan Opaliński cię woła.

Młody Niemiec ukazał się w progu z wyrazem naiwnego zdziwienia w twarzy, tak naiwnego, jak tylko to potrafi okazać grzeczny chłopiec, którego brutalnie oderwano od miłego zajęcia.

— Bitte? — zapytał przeskakując wzrokiem z Opalińskiego na matkę i z matki na Opalińskiego.

Stefan przez chwilę wpatrywał się weń, wreszcie rzekł:

— Czy przygotował pan wszystko, co potrzeba do młocki?

— Tak jest, wszystko w porządku. Jutro zaczniemy młócić.

— Właśnie, że nie zaczniemy. Jutro pojedzie pan z piekarzem po mąkę. Proszę wcześniej konia nakarmić i oczyścić.

— Gut

— Herr Opalinsky — odezwała się stara — czy pan słyszał, ktoś niedawno strzelał w lesie.

— Właśnie — przytaknęła Lucy — ja też słyszałam. Dwa razy.

— Ach, to nic — odpowiedział Opaliński — ktoś na sarny poluje.

— Napewno Rusy — poddał Paul. — Księżyc już świeci jasno, na śniegu widać wyraźnie. Mój ojciec też do księżyca polował.

Liza rzuciła nań krótkie, złe spojrzenie. — Paul zmienił się na twarzy i raptem uderzył dłonią w kolano, jak gdyby chciał tym ruchem przypieczętować ważną decyzję:

— Ja, Herr Opalinsky, więc jutro jadę do miasta.

„Jakiż on podobny do tamtego z Eulendorfu!" — pomyślał Stefan. Gdyby nie to, że podobne twarze widział także u innych niemieckich żołnierzy, przysiągłby, że tamten z Eulendorfu i ten z Ptakowic, to jeden i ten sam człowiek.

* * *

Gdy Lucy opuściła pokój, Stefan prędko przełknął śniadanie, natomiast Genowefa nawet nie tknęła jedzenia; nerwowo wygładzała pościel i ustawiała swoje drobiazgi na komodzie. Na dole dało się słyszeć szczekanie Hansi i w chwilę później na schodach rozległy się dudniące stąpania trzech mężczyzn. Stefan otworzył drzwi.

— Witam, Witam! Nie spodziewałem się, że tak wczas przyjdziecie. Proszę, proszę... Gieniu, podaj tamto krzesło. Czyście już po śniadaniu? No, to zostaniecie na obiedzie.

Wszyscy trzej, w przeciwieństwie do Opalińskiego, byli milczący i jakby wewnętrznie skupieni. Porucznik Stopka, szorstki w obejściu, zagadkowy, imponujący swą zewnętrzną postawą, podał rękę Opalińskiej i usiadł na sofie. Stefan, który go znał od trzech miesięcy i często się z nim na terenie wsi spotykał, nigdy nie wiedział, ile w tym oficerze jest pozy, a ile naturalnej powagi i godności. W twarzy porucznika Stopki, pod warstwą stwardniałej już maski oficera, przebijała czasem pierwotna, poczciwa i chytra zarazem gęba wiejskiego Jasia. Jak się to stało, że te szerokie prostackie usta i zadarty nos byłego pastucha, nabrały wyrazu filmowego ideału angielskich oficerów kolonialnych?

Genowefa, natura szczera, bezpośrednia, swobodnie i bez kokieterii patrząca mężczyznom w oczy, unikała spojrzeń porucznika Stopki, a Stefan zauważył, że zbyt często w obecności tego człowieka spuszcza oczy i to go drażniło, miał ochotę wyjść z pokoju i zostawić ich samych. Natomiast Kobuz i Ruryk byli aż rażąco naturalni. Pierwszy szczupły i rzutki, nawet gdy siedział nieruchomo, zdawał się troić na swym krześle. Myśli jego i słowa równie były szybkie jak ruchy.

W Ruryku natomiast krew zdawała się krążyć powoli, jak gęsta, czarna lawa. Twarz jego o wklęsłych policzkach i kanciastych szczękach, była ciemna jak od zapieczonego brudu. A ręce, to już rzeczywiście miał brudne — we wsi mówiono: „typ ciemny jak ręce Ruryka". Myślał powoli, mówił rozwlekle — zdawało się, że „robi" słowa, że je wykuwa gdzieś tam pod żółwim pancerzem swojego ciała. Pod wpływem alkoholu myśl jego nie zyskiwała na błyskotliwości, jedynie słowa trochę szybciej wymawiał, ale cóż z tego, kiedy ciągle te same, na przykład: „... więc mi to załatwisz, Karolku, załatwisz mi to, prawda, Karolku, że mi załatwisz?

Usiadłszy na podanym krześle zwrócił się do Opalińskiego:

— Stefuś, nie masz przypadkiem czegoś do przełknięcia?

— A czego chcesz, mieka? — zapytał Opaliński sięgając po flaszkę z wódką i obserwując równocześnie, jak wyraz zgorszenia na twarzy Ruryka przemienia się w wyraz zachwytu.

Porucznik Stopka odsunął kieliszek na bok.

— Ja teraz nie; później chętnie się napiję.

Kobuz również odmówił.

— Czy ma pan coś nowego w sprawie tych strzałów? — zapytał Stopka.

— Właściwie, to tak jakby nic — odparł Opaliński. — Wczoraj po południu, jakem wracał do domu, zajrzałem tam, pod te krzaki i tyle tylko stwierdziłem, że tam było dwóch ludzi. Z odcisków nic nie mogłem się dowiedzieć. Ten co strzelał, leżał na śniegu, były odciski kolan i łokci. A ślady prowadziły do drogi, tam i z powrotem i na drodze się gubiły. Nawet nie wiem, czy w górę wsi, czy w dół prowadziły.

— A jak tam wasz Paul się zachowuje?

— No, cóż, we wsi wczoraj nie był...

— To właśnie może być podejrzane. A przedtem często do wsi chodził?

— Dwa, trzy razy w tygodniu Nie wiem do kogo. Wydaje mi się podejrzane, że mi ostatnio bardzo nadskakuje, ale to może być skutkiem tej awantury, którą kiedyś im zrobiłem.

— Trzeba kiedyś sprawdzić, do kogo on we wsi zachodzi. Mamy podejrzenie na kilku fagasów. Przede wszystkim na młodych Wolffów. Starego wczoraj milicja zabrała, ale młodzi zostali. Wieczór przechodziłem tamtędy i spotkałem tego starszego na drodze. Oberwał. Dałem mu w pysk i powiedziałem, że jeżeli jeszcze raz zobaczę go po ciemku poza domem, to go oddam milicji. Myślę, że to poskutkuje.

Nagle, jak to było w jego zwyczaju, zerwał sę na równe nogi:

— No, panowie, trzeba zaczynać.

Ruryk wychylił czwarty z kolei kieliszek, jego zaskorupiałą twarz rozjaśnił uśmiech.

— Owszem, owszem — zawołał — z przyjemnością. Zaczynajmy, panowie. Ja owszem, owszem...

Genowefa nie podniosła się z sofy — siedziała ściskając dłonie między kolanami.

— Stefek! — zawołała szeptem — ja może tam później pójdę...

— Nie, Gieniu, musisz iść teraz. Czy znów ci mam przypominać o Garsebach i Sulau? Naprawdę będę na ciebie zły.

— No, już dobrze, dobrze, idę...

Ociągając się szła za mężczyznami, a obraz kuchni i twarzy Hattwigów wędrował razem z nią po schodach. Jakże długo trwał moment wchodzenia do kuchni! Moment ów miał tę dziwną właściwość, że rozciągał się w przeszłość i sięgał aż do owych milczących postaci w niebieskich mundurach, które również wchodziły. Z tupotem i trzaskiem karabinów. Z mroźnym oddechem styczniowej ulicy. Z zimnymi błyskawicami SS i korowodem trupich główek, które świeciły na czapkach, słowem — Oświęcim.

Dopiero gdy wchodzenie minęło, gdy drzwi się zamknęły, Genowefa uświadomiła sobie, że chwila ta dla Hattwigów nie jest tak straszna, jak jej się zdawało. Spojrzenia ich, raczej ufne niż zalęknione, skierowane były wyłącznie na imponującą postać polskiego oficera, który przechadzał się po kuchni tam i z powrotem i bawił się trzcinką zginając ją i uderzając po dłoni. Opalińskiemu wydał się on w tej chwili trochę śmiesznym — raziła go oficerska kokieteria Stopki.

Paul, który przed chwilą siedział przy stole krając tytoń, teraz tkwił w postawie „baczność" i wodził oczami za spacerującym mundurem.

Wreszcie porucznik zatrzymał się przed starą Niemką.

— Pani Hattwigowa, tak?

— Tak.

— Synowie pani należeli do SS, tak? Niech pani mówi prawdę.

Oczy starej powiększyły się i zerknęły dwukrotnie w stronę Paula.

— Nie, nic podobnego — odparła — oni wszyscy należeli do Wehrmachtu.

— Wszyscy?

— Taaak...

— A pan? — zapytał Stopka wskazując na Paula — pan do jakiej organizacji należał?

Paul lekko przybladł, ale odpowiedział śmiało i stanowczo:

— Ja służyłem w wojsku, jako artylerzysta.

— Dokument?

Paul bez słowa poszedł do swego pokoju i przyniósł książeczkę wojskową.

Porucznik obejrzał ją, nonszalancko rzucił na stół i już łagodniejszym głosem zapytał:

— Gdzie pan rękę stracił?

— Pod Stalingradem.

— Gorąco tam było, co?

— O ja, Herr Leutnant. Und kalt auch.

W tej chwili w sąsiednim pokoju zapłakał mały Reinhardt Greta po pewnym namyśle wstała od maszyny i poszła do dziecka. Równocześnie za oknami, na podwórzu ukazał się jakiś mężczyzna. Liza mimo woli postąpiła krok naprzód, jak gdyby chciała wyjść naprzeciw tego człowieka, pohamowała się jednak i tylko niespokojny wzrok skierowała na matkę.

Drzwi się otwarły, w progu stanął ów miły staruszek, który trzy dni temu jadł u Hattwigów kolację. Na sekundę zawahał się, śmiesznie jakoś poruszył wąsami i spojrzał na swoje buty, wreszcie zamknął drzwi i zdejmując czapkę powiedział „gut Morgen".

— Do licha — rzekł Stefan głośno — ciekawym, po co on teraz tak ciągle tu przychodzi?

Porucznik Stopka spojrzał na Opalińskiego, jakby z pewnym zdziwieniem, co nie było w jego zwyczaju, następnie rzekł do staruszka po polsku:

— Czemuż to pan nie chce nam powiedzieć „dzień dobry"?

Stary nie od razu odpowiedział. Znów poruszył wąsami, szurgnął butem po posadzce i chrząknął.

— Panie lojtnant, toć jo stary ślepok, jo niewidza dobrze.

Opalińscy spojrzeli na siebie, Stefan zacisnął usta i potrząsnął twarzą porozumiewawczo.

— Panie poruczniku — rzekł wreszcie wzburzony — pan wie, że dziadziu sobie tu przychodził, jadał razem z nami przy stole i ani słówkiem się nie zdradził, że rozumie po polsku.

Zimną maskę oficera na moment rozjaśnił łobuzerski uśmiech wiejskiego Jasia, w oczach zamigotały iskierki.

— Powiedz pan — rzekł do starego — że „jo głuchok, jo niedosłysza dobrze".

— Toć prowda, panie lojtnant...

— Powiedz no pan, jak się pan nazywa — zapytał Opaliński starego.

— Jo? Petruschke, Johan Petruschke...

— A może Jan Pietruszka, nie? A ile pan ma dzieci?

— Jo nijakich dzieci nimom.

— Chwała Bogu, ostatnia pietruszka w niemieckim ogródku.

Na twarzy starego zagrały jakieś żywsze uczucia — może gniew, może uraz; chciał coś powiedzieć, ale machnął dłonią — widocznie miał zbyt wiele do powiedzenia i zbyt trudno byłoby mu w tej chwili o tym mówić.

Porucznik Stopka wykręcił się na pięcie i uderzył trzciną po płaszczu:

— No, panowie, zaczynamy. Niech pani pójdzie z nami — zwrócił się do Hattwigowej — obejrzymy pokoje na górze.

W niespełna pięć godzin później rzeczy i ludzie w domu Hattwigów — a właściwie teraz Opalińskich — przybrały zgoła odmienny wygląd. Przede wszystkim wielkie zmiany zaszły we wszystkich pięciu pokojach na piętrze. Szuflady wysunięte były z komód, szafy pootwierane, wieka skrzyń podniesione, na podłodze leżały kupy szmat i gałganków, na stołach albumy z fotografii, stosy listów, pudełka tekturowe, zeszyty i książki. Na korytarzu stała rozbita skrzynia z obuwiem, którą Kobuz znalazł w stodole. Większą część obuwia ze znakiem firmowym: „Bata, Krakau" miała cholewki i przyszwy wygryzione przez myszy. Druga skrzynia, stojąca tuż przy schodach, zawierała materiały pochodzenia łódzkiego, ale również małej wartości, bo w jednym rogu zetlała wskutek wilgoci. W trzeciej skrzyni znajdowały się barwne chustki bułgarskie, serdak huculski i kapce zakopiańskie oraz suknie niewiadomego pochodzenia. Osobno, w dwóch tekturowych pudłach, leżały damskie kapelusze, podwiązki, grzebyki, nici i inne drobiazgi znaczone napisami francuskimi. W sieni, na dole, walały się puste pudełka z cygar holenderskich, puszki z sardynek francuskich i butelki z włoskiego Chianti, a obok na krześle leżały watowane spodnie i kufejka rosyjska oraz artyleryjska lornetka z sowiecką gwiazdą na oprawie.

W pokoju Opalińskich, na łóżkach, na sofie i na komodzie leżały prześcieradła, poszwy, firanki, obrusy i ręczniki, które Genowefa sortowała i układała w szafie. Robiła to gorączkowo, z przejęciem, i co chwila wypowiadała jakieś uwagi na wpół do siebie na wpół do mężczyzn, którzy w tej chwili kończyli jeść obiad.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BRONISŁAW KAMIŃSKI

Narcyz

Bronisław Kamiński, młodziutki poeta krakowski, autor dwóch tomików poetyckich „Przeciw" i „Pieśni barbarzyńcy", przyjaciel Czechowicza, przed samą wojną drukował w „Pionie" kilka fragmentów prozy poetyckiej, uderzających wyszukaną formą. Przeżywał wtedy okres niepokojącego mistycyzmu, a zarazem męczyło go pragnienie uwolnienia się od Polski i tego wszystkiego, co obarczało go od urodzenia. W sierpniu nawiązał kontakty z marynarzami i przemytnikami w Gdyni by uciec jak mały chłopiec, w świat. Opanował nieźle język angielski i francuski, marzył, żeby przestać pisać po polsku, żeby stać się wolnym obywatelem świata. Pierwsze naloty we wrześniu, bomby i zaczynający się najazd, tak podziałały na niego, że wstąpił jako ochotnik do wojska.

16 września dostaje się Kamiński do niewoli niemieckiej. Ucieka 15 listopada, błąka się po Pomorzu głodny i ścigany, wreszcie aresztowany po paru dniach, zostaje wysłany do Stutthofu, potem do Sachsenhausen, wreszcie do Mathausen i Gusen. Udaje mu się jednak przedostać do Paryża, gdzie zmienia nazwisko, drukuje w podziemnych pismach francuskich wiersze i opowiadania. Walczy przy oswobodzeniu Paryża w szeregach Maquis. Francuzi uważają go za swego poetę.

Obecnie wydał dwa tomiki bajek dla dzieci polskich i wkrótce wraca do Polski.

Była godzina, w której zaczynał się świt. W sali kabaretowej poczynało być pusto. Pogaszono lampy a z okien padała rozmazana mieszanina nocy z dniem. W opuszczonej sali pełnej nieładu spoczywał smutek, bo jeszcze nie były przyszły dobroczynne służące i nie zdmuchnęły ostatniego tańca i niedopałków ze śliskiej posadzki. Na jednym z ciężkich, wybitych czerwonym pluszem foteli, spał człowiek, ostatni pasażer który nie wysiadł jeszcze z podróży przez taniec. Spał, a po twarzy jego chodziło brzęczenie jedynej nie śpiącej jeszcze, wzgłę dnie już, muchy.

Za oknami pojawiały się potrosze pierwsze dźwięki dnia. Tu i ówdzie klucz zazgrzytał w zamku, gdzieindziej klasnęło auto i rozpraszając noc ostatecznie, pojawiły się kroki ludzi, zmierzających do pracy. Człowiek śpiący w fotelu otworzył oczy i powoli zaczął ogarniać rzeczywistość. Wstał, przeciągnął mięśnie i spojrzał w jedno z licznych luster.

Na jego twarzy najwyraźniej znać było zmęczenie, dźwięki muzyki i rozedrgane pożądanie zmysłowe. Palcami dotknął policzków i uśmiechnął się do siebie. Z tego uśmiechu wyłoniła się prawda o nim.

Kiedy był małym chłopcem, a jeszcze nie był człowiekiem, tylko bogiem, ujrzał swoje odbicie w leśnej kałuży i wtedy pokochał rozchylone wargi swego drugiego ja. Odtąd ciągle marzył o sobie i ciągle dążył ku sobie, lecz nigdy nie mógł uchwycić swojej postaci. Często przychodził nad leśną kałużę i wpatrywał się w swoje usta rozchylone i drżące, w swoje drugie ja którego pragnął.

Mijał czas, a on wiądł od pożaru, bo miłość jego była pożarem. Aż wreszcie blady i słaby dotarł do leśnej kałuży i z pragnienia zamienił się w kwiat, a kwiat ten odbijał się w kałuży i pragnął.

Po latach, z tego pragnienia kwiat zamienił się w człowieka. Człowiek zaś był drwalem i miał grube i mocne dłonie, twarde mięśnie i przedziwną niebieskość oczu. Drwal pojął żonę, która mu gotowała strawę i rodziła dzieci. Zupełnie zapomniał o pożądaniu swojego drugiego ja, które zniszczyło jego boskość, ba, nie tylko o tym zapomniał, lecz zupełnie zatarła się w jego umyśle świadomość boskiego poczęcia. Był drwalem i w twardych rękach niósł swoje przeznaczenie.

Z czasem wyrwał się z lasu i wszedł w wielkie pałace zbudowane z kamienia, był bowiem żołnierzem straży przybocznej króla perskiego. Któregoś dnia ujrzał bladą księżniczkę i zapragnął ją posiąść. Od tego czasu każde spojrzenie jego otwierało jej postać. Aż o pewnym zmroku przywarł do jej nóg i wyznał jej swoją miłość i pożądanie. Wtedy blada księżniczka oddała go katom, aby poćwiartowali jego ciało.

Gdy znowu się zbudził, był bohaterem greckim. Pod nogi jego rzucano wieńce, a poeci układali długie ody na jego cześć. Lecz w oczach jego ciągle płonął pożar miłości ku obliczu zaginionego boga, który był nim samym.

Kiedy będąc lichym, krępym, o węzłowatym ciele niewolnikiem, przyłączył się do buntu Spartakusa i z dziką nienawiścią podpalał domy wolnych obywateli oraz przy każdej sposobności dławił krzyk przestraszonych kobiet, ściskając ich obnażone ciała w swoich żylastych rękach, — w największym szale zbrodniczym odszukał swój pożar i spłonął w jego objęciach.

Koń i nóż byli jego towarzyszami, ciemny las domem, a wycie wilków wiecznym akompaniamentem życia. W tańcu wojennym dokoła posągu boga znowu przemienił się w nicość, gdyż przpomniał sobie własną boskość.

Piękną kurtyzaną będąc pieścił się pocałunkami innych a jego kobiece ciało owijało się obłokiem woni i miłości. Młodzi książęta przychodzili poznawać u niego rozkosz, a on względnie ona, prężył swe ciało o ich pożądanie i był coraz piękniejszy od nienasyconej rozpusty.

Chudą, owrzodziałą rękę wyciągał spod podartej szaty, prosząc o jałmużnę. Stawał pod arkadami katedry i przypatrywał modlącym się kobietom lub umawiał się z pobożnymi, którzy wciskali mu pieniądze do chytrej ręki; potem brał nóż i w ciemnych ulicach zabijał ich nieprzyjaciół.

Gdzieś w brudnym zaułku miejskim odnalazł się znowu jako żyd-lichwiarz zaczytany w czarnym talmudzie. Jego krzywe paznokcie i krzywy długi nos odbijały się od czarnej brody, a łyskliwe oczy rzucały niespokojne spojrzenia. Świat był zagadką matematyczną a wynikiem jej były pieniądze. Zbudował w sobie uwielbienie dla pieniądza i pogardę dla miłości. Mimo to w noce księżycowe wychodził ubrany na biało i do księżyca śpiewał posępną tęsknotę: Jeruszalaim, Jeruszalaim. Tak wpływał w noc, aż blisko gwiazd będąc poczuł się znowu bogiem i zginął.

Przechodząc ulicami widział się w każdej twarzy. Mógłby śmiało żyć życiem robotnika, jak również bawidamka o złotawym uśmiechu, dobrej żony-kuchary gotującej mężowi obiad i niańki piastującej dzieci. Mógłby być miliarderem lub sportowcem, a był po prostu poetą.

Otarł noc ze swoich powiek i patrzył w lustro, tak jak patrzył kiedyś w kałużę leśną, aby tęsknotą nie możebną do spełnienia rozpalić oczy. Wielkie zdziwienie rozchyliło jego źrenice, gdy zostawiając swój cień pod lustrem wyszedł na ulicę i odbił się od błysku słońca. Wtedy stał się bogiem - człowiekiem pożądającym dnia.

Ponad miastem zaśpiewał swój hymn do tęsknoty która zbudowała świat. Z każdego drgnienia jego ust wylatywał irracjonalny anioł i zamieniał się w kwiat. Tak powoli zamienił się w ogród kwiatów, aby stać się barwą i zapachem i nigdy więcej nie wrócić.

Bronisław Kamiński

Mowa polska

Zapewne chciałbym pisać dla ludzi wszystkich,
bowiem najbliższe właśnie mi imię człowieka.
Dzieciństwo ukradły mi sroki i liszki,
potopiły w morzach i rzekach.

W mojej mowie strumień musi zwać się: strumień
i musi być w niej rozległość słowiańska,
słowo rzewne wypełnia jej piersi podwójne,
zielona piosenka z niej śpiewa — wiatrowa i bezpańska.

W mojej mowie jest Polska
choć Jej imienia nie wymawiam — ono żyje,
lasek pod Krakowem i wioska,
wiatr tańczący po młynie.

Wiersz z tomu „Obraz człowieka". Paryż 1947.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Wsi rodzinnej

Nim zamilknie ta wieś nadrzeczna
z lękiem czajek, lśniąca jak łzy,
jak wlokący się z chałup dym,
jak marsz księżyca, droga mleczna —

nim traktor nowy dotknie tej ziemi,
nim pługi zejdą do obór i mgła,
nim echa odejdą i pora zła
a czas zamilknie w żarnach w sieni —

nim ludzie odejdą i sprzęty i skrzynie,
i dawność i zwyczaj — dzieła rąk,
nim przebrzmi żabia muzyka z łąk
i wiatrak na wzgórzu z wiatrem spłynie —

ty mi osiczyn drżących daj,
ty mi śpiewem ozłoć tę wieś,
moich bosych stóp ślady pozbieraj —
i niech sobie wtedy muzyczny minę.

Dzień, który mija

Gdzie chwieją się lilie urodne,
a stokroci biały śnieg
osypuje rzeki brzeg
i kołyszą się olchy nadwodne —

gdzie u chłodu jeziora
otwiera się kwiat złotousty —
tam i kijanek stuk — piorą
kobiety chusty.

Gdzie u wody leniwej,
u zwierciadeł leży na dnie —
tam obłok wieczorny upadnie
i w głębinie spoczywa siwy.

Nim dzień za górę się schyli
i echa coraz dalsze i domów cień —
a z szyb migotania ten czas, a z lśnień,
a u śpiących skrzydeł motylich.

Co robią Niemcy

Trzy konstytucje i siedem głównych grzechów - Separatyści, naziści i zamachowcy - Stuttgarckie ple-ple

Hannower oraz wiele innych miast niemieckich odbudowuje się za pomocą najnowcześniejszych środków technicznych, dostarczonych Niemcom przez Anglosasów.

TRZY konstytucje powstały prawie równocześnie w Niemczech. W Bawarii, w Würtembergii i Hesji. Bawaria od samego początku swej politycznej „samodzielności" dążyła do stworzenia „konstytucji ludowej". Teraz, kiedy konstytucja ta powstała, Bawarczycy są z niej niezmiernie dumni, za to w innych strefach okupacyjnych a zwłaszcza w sowieckiej stała się ona tematem niekończących się żartów i dowcipów. Atakuje się ją głównie za jej „antyniemiecki", jak to prasa berlińska określiła, ton. Polega on na tym, że według konstytucji obywatelem państwa może być tylko rodowity Bawarczyk, prawo wyborcze posiada tylko Bawarczyk, premierem, ministrem czy podsekretarzem stanu może zostać tylko Bawarczyk. Prezydent państwa wybierany będzie zwykłą większością głosów na cztery lata. Także powołani przez niego ministrowie i podsekretarze stanu potrzebują dla zatwierdzenia jedynie zwykłej większości głosów w Landtagu. W czasie trwania kadencji rząd nie może być zmieniony przez parlamentarne votum nieufności. Widzimy więc, że konstytucja bawarska postarała się przede wszystkim o zapewnienie silnej pozycji rządowi i tę pozycję, jak na to wskazują wieści z Bawarii, tamtejszy rząd stara się za wszelką cenę utrzymać. Za głównych autorów konstytucji bawarskiej uchodzą dr Högner i prof. Nawiasky. Dr Högner znany jest szczególnie z wrogiego stosunku do przebywających na terenie Bawarii obcokrajowców a zwłaszcza do Polaków. Oświadczył on niedawno, że „system pracy przymusowej w Niemczech nazistowskich był zły, skoro utrzymało się w Niemczech przy życiu i zdrowiu tyle polskiego gałgaństwa (Lumperei)".

KONSTYTUCJA w Würtembergii-Badenii w czasie od ukazania się pierwszego jej projektu do ustalenia ostatecznego tekstu przeszła poważne zmiany. Przewidziany w projekcie senat i prezydent państwa zniknął w tekście końcowym. Rząd jest tu czymś pośrednim między silną autorytatywną władzą bawarską a czysto parlamentarnym typem władzy. Premiera obiera połowa członków Landtagu i połowa może go usunąć. Podobnie jak konstytucja weimarska (§ 48) rząd würtembersko - badeński posiada szerokie prawo do ustanowienia stanu wyjątkowego (nb. konstytucja bawarska również przewidziała to uprawnienie). Szczególnie ciekawym postanowieniem tej konstytucji jest udzielenie prawa obu okręgom krajowym, Würtembergii i Badenii, do własnej hierarchii i własnej administracji. Za autora konstytucji uchodzi tu prof. Schmid.

NAJBARDZIEJ zadowolić może konstytucja heska, autorstwa prof. Jellinka. Znajdują się w niej paragrafy, przypominające już pewne demokratyczne myślenie. W przeciwieństwie zatem do Bawarczyków zagwarantowano tu w konstytucji robotnikom prawo strajku, określono także nieśmiało konieczność upaństwowienia niektórych gałęzi przemysłu. Postanowiono, by sędziowie przed dopuszczeniem ich do sprawowania urzędu przeszli pewien okres próby, poczem dopiero na skutek wyboru przez szeroką komisję sędziowską mogą zostać sędziami czynnymi.

JEST jeszcze jedno zagadnienie interesujące w tych trzech konstytucjach, mianowicie zagadnienie stosunków między państwem niemieckim a tymi poszczególnymi krajami. Konstytucja bawarska sprawę tę pomija zupełnym milczeniem. Artykuł pierwszy mówi, że Bawaria jest państwem wolnym, artykuł drugi określa ją jako państwo ludowe. Barwami państwowymi jest biel i błękit. O państwie niemieckim w konstytucji nie ma wzmianki. Würtembergia-Badenia uznaje się za członka państwa niemieckiego i określa się jako demokratyczna i socjalistyczna republika. Sztandar republiki jest czarno-czerwono-złoty. Wszystkie postanowienia konstytucji, które były by w niezgodzie z późniejszą konstytucją państwa niemieckiego, zostaną tym samym unieważnione. Hesja podaje się za członka republiki niemieckiej i za republikę demokratyczną i parlamentarną. Barwy państwowe: czerwono-białe. Heska konstytucja jako jedyna zawiera przepisy przejściowe dla przemian w kierunku państwa ogólnoniemieckiego. W nich zobowiązuje się Hesja do przestrzegania niemieckiej jedności państwowej. W ogóle heskie postanowienia konstytucyjne ostro stawiają sprawę Niemiec zjednoczonych i choć są one owocem długich obrad i rezolucyj dwóch partii, socjaldemokratów i chrześcijańskiej demokracji, w tym punkcie zbliżają się wyraźnie do rezolucyj i dążeń partii jedności socjalistycznej, działającej w strefie sowieckiej.

SEPARATYSTYCZNE dążenia w innych częściach Niemiec jednak bynajmniej nie osłabły. Pod koniec marca doniósł berliński „Telegraf", że socjaldemokraci i chrześcijańskodemokratyczna unia Zagłębia Saary wysłały wspólny telegram pod adresem konferencji moskiewskiej, domagają się w nim w imieniu ludności jak najszybszego połączenia gospodarczego Saary z Francją. W odpowiedzi na to partia komunistyczna wysłała pod tym samym adresem telegram, w którym kwestionuje prawo połączonych socjaldemokratów i chrześcijańskiej unii (SPD i CDU) do wyrażania życzeń połączenia Saary z Francją w imieniu całej ludności. Komuniści saarscy oświadczają się w telegramie przeciw połączeniu Saary z Francją.

DO chaosu politycznego w strefach zachodnich, chaosu umożliwiającego oficjalną niemal działalność czynnikom skrajnie nazistowskim, przyczyniła się w niemałym stopniu dotąd nierozwikłana trudna sprawa denazyfikacji. Zarejestrowanych nazistów w strefach zachodnich jest ponad dwanaście milionów, dotąd zaś trybunały denazyfikacyjne rozpatrzyły zaledwie 200.000 spraw, to znaczy cośkolwiek więcej niż 1,5%. Od rejestracji upłynęło już 20 miesięcy i jeśli praca trybunałów pójdzie w tym tempie, a należy się spodziewać raczej jej osłabienia, to ostatni hitlerowiec celem zrehabilitowania się (oczywiście!) stanie przed trybunałem denazyfikacyjnym za sto lat. Cyfry te optymizmu nie wróżą. Staje się rzeczą jasną, że dotychczasowymi metodami sprawy denazyfikacji dwunastu milionów ludzi rozwikłać się nie da. Należy się zatem liczyć, że wkrótce na skutek jakiegoś ogromnego aktu łaski wszyscy ci hitlerowcy powrócą w szeregi normalnych obywateli niemieckich. Mocarstwa patrzą wprawdzie ze złością na opieszałość trybunałów ale nic w tej sprawie zbawiennego dotąd nie potrafiły wymyślić. Zresztą sprawa denazyfikacji to poważny problem wszystkich narodów europejskich, wszystkim bowiem jednakowo zagraża ta wielomilionowa fala nazistów i nieopatrzne usunięcie tam może mocno skomplikować mozolne kształtowanie się porządku demokratycznego w Niemczech. Wszystkie zatem narody tą sprawą winny się interesować w znaczniejszym niż dotychczas stopniu i pomagać w jej rozwiązaniu.

TYMCZASEM nieliczni prokuratorzy trybunałów denazyfikacyjnych giną na skutek zamachów. Ostatnio zamachu takiego dokonano na prokuratora Reinholda Huba w mieście Oehringen pod Stuttgartem. Trybunał jego znany był jako najostrzejszy a tym samym i najsumienniejszy w Würtembergii. To stało się powodem wydanego nań przez hitlerowskie podziemie wyroku śmierci. W samej strefie amerykańskiej w ciągu stycznia br. dokonano 24 zamachów na trybunały lub ich członków, przy czym sześciu członków poniosło śmierć. Nic dziwnego, że Niemcy pośpiesznie wycofują się z trybunałów a sprawa denazyfikacji również i przez to zabagnia niemieckie życie polityczne.

NIEWĄTPLIWIE w związku z tym wszystkim a zwłaszcza z atmosferą, która umożliwia powstawanie terroru hitler. podziemia, wspomnieć można zdanie o Hitlerze, które ukazało się w czasopiśmie stuttgarckim „Der Standpunkt": „Była to potężna indywidualność, zjawisko pełne siły — to nie ulega wątpliwości... Jest Hitler nie tylko, jak myślą niektórzy, eksponentem swojej epoki, reprezentantem ciężkiego przemysłu i militaryzmu jest on — niestety — przede wszystkim on sam jak granit, blok eratyczny!" wisz.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Ucieczka przed samotnością

Powieść E. Kocwy*) jest ogromnym, bo przeszło czterystastronicowym pamiętnikiem młodej dziewczyny, która zbrojna w umiejętność pisania na maszynie, stenografię i obce języki wyrusza na poszukiwanie szczęścia. Akcja dzieje się przed wojną. Pierwszym upajającym osiągnięciem bohaterki Kocwy, Marii, wyposażonej we wszystkie zalety, jest samodzielność i niezależność materialna. Dziewczyna jest dumna, że cenią ją jako dobrą siłę biurową, chce naprawdę pracować, praca cieszy ją sportowo. Zdaje się jej że zwycięska młodość pozwoli jej zdobyć wszystko czego zapragnie. Ale fabryka, biuro, które ją kolejno eksploatują kruszą siły, otępiają monotonią. Z wyblakłych twarzy koleżanek biurowych, znudzonych służalczych robotów odgaduje czekającą ją przyszłość. Ogarnia ją lęk i bunt. Maria nie chce zostać bezmyślnym, zgorzkniałym manekinem, pozbawionym sił i radości. Koledzy patrzą na jej zapał wyrozumiale. Maria pozostaje samotna. Góruje nad towarzyszami pracy trojaką przewagą — wykształceniem, niewygasłymi aspiracjami i młodością. Właściwie otoczeniem gardzi. Związki pozornej przyjaźni, służą autorce tylko do wykazania niebezpieczeństw jakie na jej bohaterkę czatują. Maria sama skazuje się na samotność. Im bardziej oddziela się od przeciętnej pospolitości, tym trudniej będzie jej znaleźć przyjaźń i miłość. Samotność daje jej poczucie niezwykłości, przygotowuje ją, wydaje uczuciom, czy namiętnościom, pozornie opanowanym, które ją nagle uprowadzą. Właściwie wystąpienie Marii w obronie strajkujących robotników, bo chce już kwestię pracy i walki wyczerpać, jej solidarność w starciu z dyrekcją fabryki jest tylko gestem samoobrony. Maria musi zademonstrować samej sobie, że nie uległa jeszcze procesowi kostnienia, mimo kilku lat pracy biurowej. Na tym zamykałby się pozorny smak aktualności klasowej tej powieści.

O bohaterce wiemy tylko tyle, i to wyłącznie z jej teraźniejszości, ile sama zechce nam o sobie opowiedzieć. Nie znamy jej przeszłości, środowiska, związków rodzinnych i przyjacielskich, choćby z okresu studiów. Właściwie Maria rodzi się nam w pociągu, wiozącym ją ku pierwszej posadzie. Sztucznie została wyeliminowana cała przeszłość, nie wynika to z jakiejś planowej oszczędności, przeczy temu drobiazgowa gadatliwość dotycząca powszedności nieciekawej, nie przynoszącej nic ważkiego do akcji, jeśli do tej godności podniesiemy wewnętrzne doświadczenia Marii. Autorka poczyna bohaterkę w samotności i w niczym jej nie ułatwia wymknięcie się z tego kręgu, w jaki ją wepchnęła.

Uwaga Kocwy skupia się na przeżyciach wewnętrznych Marii, opowiedzianych zresztą zawsze w formie wspomnieniowej, i to dość osobiście, mimo, że Maria pragnie być obiektywna i sądzi siebie surowo. Praca i niezależność, to tylko droga — celem bohaterki jest szczęśliwa miłość, której napróżno szuka. Maria pracuje cały rok ciężko, by z zaoszczędzonych pieniędzy wyjechać na kilka tygodni wakacyjnych, przeżyć je przyjemnie i lekko. Wtedy odnajduje w powodzeniu u otaczających ją mężczyzn młodość i radość. Maria zbyt długo czeka na te krótkie dni, zbytnio się do nich przygotowuje, piastując na dnie nadzieję upragnionego spotkania z wielką miłością, tak, że jest właściwie gotowa, biologicznie i uczuciowo, nic więc dziwnego, że partnerzy ją wykorzystują. Pamiętnik pomyłek, zwłaszcza że Maria ma umysł analityczny i rzetelnie rejestruje swe doznania i przemyślenia, stanowi najciekawszą część książki. Kocwa daje nam próbę jakiegoś światopoglądu. Nie próbuję go jaśniej sprecyzować, bo sama autorka nie jest pewna swych doświadczeń. Ostatecznym wydźwiękiem jest rezygnacja ze szczęścia, jedynego zgodnego z naturą, z małżeństwa i macierzyństwa. Mimo pozorów pogodzenia, dopracowuje się Maria tej tragicznej decyzji z zadziwiającą dociekliwością i trudem. We wielokrotnych nawrotach przygryza przeżyte chwile, lub zyskuje nowe doświadczenia stanowiące niezbyt różny wariant uprzednich, szuka istotnego sensu i przyczyn pomyłki i zawsze, ze zdolnością do poświęceń ludzi samotnych, winą obarcza tylko siebie. W swej odrębności sztucznie hodowanej, w swej nieumiejętności życia, bo nie w wadach, odkrywa źródła konfliktów między uczuciową ofiarnością, a drapieżnym otoczeniem.

Maria jest uczuciowa i uczciwa, uczuciowość popycha ją w ręce mężczyzn, uczciwość nie pozwala ich przy sobie utrzymać. Maria choć jest nowoczesną kobietą, pracująca, dumną ze swej samodzielności, wolną od przesądów mieszczańskich, nie zna gry, wyrachowanego wabienia, nie umie zdobytych mężczyzn związać ze sobą. Oddanie jest znowu dla niej próbą uczuć, pogłębia jeszcze samotność. Marię obciąża dziedzictwo romantyczne, miłość jest dla niej światem nieznanym, pełnym niespodzianek, otwiera się przed nią w chwili, gdy ten powszedni, zacieśnia się i pospolicieje. Dla Marii, która z właściwą sobie powagą odnosi się do miłości, doznania zmysłowe są marginaliami wielkiego uczucia, wzbierającego w niej samotnie. Dlatego słowom — „na zawsze", „nigdy" i „wszystko" — przydaje ujmującą, naiwną świeżość.

Bohaterka Kocwy eksperymentuje na sobie i rzetelnie płaci za każdą pomyłkę. Dowodem dwoistości jej przeczuć i oczekiwań, oraz realnych namiętności jest jej romans z „gladiatorem" na obozie żeglarskim. Maria urzeczona muskularnym torsem, dopełnia sobie wnętrze duchowe kochanka marzeniami, potem, natrafiając tylko na zmysły łapczywego młodzika, doznaje zawodu, którego czytelnik dawno oczekiwał. Niespodzianką jest dla niej, że kochanek nie może pojąć jej rozczarowania, myśli, że coś w samym mechaniźmie miłości go zawiodło, jest zły i bezradny.

W tym gubiącym się we łzach wyznaniu: „Ja nie chciałam tak!" kryje się sedno pomyłek Marii. W wachlarzu jej kochanków, rzeczywistych i potencjalnych, których nam nie oszczędza autorka, jedni są tylko kontynuatorami możliwości erotycznych jakie otworzyli im poprzednicy, inni, których nie wybróbowała, kryją jeszcze w sobie jakieś złudy i nadzieje. Młodą, samodzielną dziewczynę gubi jej niezależność i samotność. Gubi ją dziedziczny maksymalizm. Maria tak się wgłębia w siebie, tak mało sobie ufa, tak doświadcza nieustannie, że jedyną prawdziwą miłość wypuszcza łatwo z rąk. Zamiast próby, na którą decyduje się zbyt późno, z fatalistycznym poddaniem wycofuje się z walki o tego jedynego mężczyznę.

Ostatnio, prawie przyjacielska sielanka z wiejskim chłopcem nie budzi w nas zaufania. Jeżeli upoczywość w drążeniu przeżyć, uszeregowanie faktów niewiele się różniących, każe nam doszukiwać się jakichś linij konstrukcyjnych, w intencjonalnym braku selekcji, to samo zakończenie, romansik i wieś pocztówkowa budzi zastrzeżenia. Jeżeli początkowo układ opisywanych wydarzeń można usprawiedliwiać narzucającą się, pozaartystyczną prawdą — „tak było", bo to się czytelnikowi niejednokrotnie nasuwa, to właśnie tego sugestywnego wrażenia nie mamy w końcowej partii powieści, w opisie pogodnych i melancholijnych wakacji.

Cóż Maria unosi ze swej wędrówki? Gorycz doświadczeń, świadomość zawodu i wielką gotowość do podjęcia prac, które będą zastępczym szczęściem, jeśli nie znieczulającym narkotykiem. Ten trud, który się marzy bohaterce, trud, którego jałowy, samotniczy smak poznała, stanie się odrzuconą miłością.

Znając Marię z 400 str. nie jesteśmy wcale pewni czy praca ją podźwignie i ubezpieczy przed patetycznym grobowcem nad jej ponawiającymi się zawodami, jesteśmy przekonani zamykając książkę, że nie zwiąże ją z żadnym radośnie tworzącym zespołem, a raczej pogłębi w niej kompleks niedowartości i utwierdzi w niej samotność.

Książka Kocwy, w której dominuje bolesna niemożność wybrnięcia z biologiczno uczuciowych determinacji, jest właściwie nieczysta jako gatunek literacki. Ani to powieść psychologiczna, ani pamiętnik, odkrywczość jest dość przypadkowa, jeśli mówimy o przeżyciach samotnej dziewczyny. Konstrukcja rozpada się na nierówne człony, gdzieś u dna pozrastane przypomnieniami doświadczeń. Ratuje wszystko styl — poprawny, czyściutki, bezosobowy, o długiej, rytmicznej frazie. Dzięki niemu stoją jeszcze najlepiej opisy samotnych spacerów, zmierzchów i poranków przedmiejskich, całe to smakowanie natury trochę jak orzeźwiającego napoju, a trochę jak lekarstwa.

Książkę czyta się długo. To też zaleta.

Wojciech Żukrowski

*) Eugenia Kocwa: „Maria wyrusza w świat", wyd. Gebethner i Wolf, str. 415.

Wrocławska inscenizacja »Dwóch Teatrów«

Realizacja Leonii Jabłonkówny powiązała pozornie sprzeczne elementy teatru „Małe Zwierciadło" i Teatru Snów w jedną, nierozerwalną całość mocnymi kontrastami, znajdującymi swe uzasadnienie i powiązanie w dialogu dyrektorów obu tych teatrów. Reżyseria z pietyzmem zachowała niedomówienia, pozwoliła „wygrać się milczeniu" i zastosowała tę zasadę aż do ostatniej chwili nie pozwalając obudzić się Dyrektorowi Małego Zwierciadła, zgodnie z tekstem Szaniawskiego.

Dyrektor „Małego Zwierciadła" i Lizelotta.

Nie ustrzegła się jednak reżyserka od kroku, który był wyraźnym odstępstwem od linii „niedomówień", mianowicie chłopców z „Krucjaty Dziecięcej" przedstawiła jako oddział powstańców warszawskich w hełmach z opaskami, uzbrojonych w karabiny i granaty ręczne, atakujących i ginących. Szaniawski wyraźnie życzy sobie nie tylko w objaśnieniach, ale i przez usta Dyrektora, że powinne to być dzieci w papierowych chełmach z drewnianymi szabelkami. Bez wątpienia z podtekstu wypływa, że chodzi o powstańców warszawskich, ale przebieranie tych postaci w mundury powstańców rozwiewa czar poezji, usuwa niedomówienia i brutalnie wtłacza w rzeczywistość. Rzeczywistość tę podkreślono jeszcze sparafrazowanymi fragmentami melodii „Serca w plecaku".

Jeżeli już omawiam „zjawy senne" z III aktu, to w koncepcji wrocławskiej nie były one tylko emanacjami umysłu Dyrektora teatru „Małe Zwierciadło", nie stanowiły ucieleśnienia rozdwojonej jego jaźni, upostaciowania dyskusji Dyrektora z samym sobą, ale żyły swoim własnym życiem. Oświetlone tymi samymi światłami, co postacie Laury, Matkowskiego, jeśli poruszały się i mówiły „nierealnie", to tylko dla zaznaczenia „snowości" (używam nowotworu językowego, gdyż „senność" mogłaby być opacznie zrozumiana), a postać Lizelotty zostawia nawet kilka kwiatów jabłoni porzuconych przed Dyrektorem (przywodzi mi to na myśl podkowę pozostawioną przez Wernyhorę w Weselu). Z tego też powodu zrezygnowano zapewne z ilustracji muzycznej, mogącej podkreślić „niecodzienność" zjawiska (jak to stosowali realizatorzy w innych teatrach), pozostawiając muzykę tylko w momentach określonych tekstem, jak gra poległego skrzypka i akompaniament do „Gałęzi Kwitnącej Jabłoni". I tutaj też motyw „Serca w plecaku" był niekonsekwencją, wywołaną przez fałszywą inscenizację sceny z żołnierzykami.

Dyrektor Teatru Snów, skąpy wprawdzie w geście i raczej stacznie potraktowany, nie był inscenizowany na wytwór sennej wyobraźni Dyrektora „Małego Zwierciadła" i zgodnie z założeniem realizatorki był postacią „samoistniejącą". Również lekarza teatralnego nie pozostawiono w sferze groteski krzywego zwierciadła, widziadeł sennych, a i wszystkie postacie ze snu przed wejściem Laury, Matkowskiego i Montka nie zbierały się wokół Dyrektora, by zniknąć na hasło: „ktoś idzie", jak spłoszone zbudzeniem się sny. Jeżeli mimo tego „urealnienia" postaci ze snu Dyrektora odnosiliśmy niezaprzeczalne wrażenie „nierealności" i niezwykłej odrębności tych scen, jest to tym większym sukcesem koncepcji reżyserskiej. Do pogłębienia wrażenia przyczyniła się też scenografia III aktu, nierealna, a jednak konkretna w wyrażeniu przedmiotów i kształtów.

Oprawa sceniczna w obu jednoaktówkach wprowadziła od razu widza w odpowiedni nastrój, tym razem oczywiście odmienny jak w akcie III, drobiazgowo rzeczywisty, realny. Za omrożonymi oknami domu leśniczego („Matka") padał wielkimi płatami śnieg, który osiadał na ubraniach wchodzących, zegar chodził głośno tykając i bijąc godziny. W „Powodzi" woda falowała za otwartymi drzwiami poddasza. Matka z pierwszej jednoaktówki, żyjąca własnym życiem wewnętrznym, ale prostolinijna i otwarcie się wypowiadająca, oszczędna w słowach i geście i Anna („Powódź") bezpośrednia, niezwykle dramatyczna przez prostotę i wyraz wewnętrzny, długo pozostaną w pamięci widza. Andrzej, również szczery, mówił jednak zbyt „intelektualnie", jak na prostego człowieka w obliczu niebezpieczeństwa.

Tragedia ojca, porzuconego, niezaradnego starego dziecka, musi zrobić wstrząsające wrażenie.

Wracając do pozostałych postaci z jednoaktówki „Matka", to tylko żona leśniczego utrzymała się w koncepcji reżyserskiej. Pani wniosła na scenę swobodę, ale brak jej było pewnej tajemniczości i zadumy, leśniczy nie wydobył poezji i oderwania się od rzeczywistości w chwilach „zapatrzenia się" i zamyślenia.

Muzyka skrzypiec, łącząca obie jednoaktówki, wątła, o interesującym początkowo temacie, a później trącąca o romanse cygańskie, nie utrzymywała nastroju.

Lizelotta opanowaną, opartą na szlachetnej linii wewnętrznej grą (którą potwierdziła jeszcze niemym, ale jakże wymownym wejściem w III akcie), odpowiadała określeniom jakie później w stosunku do niej użył Dyrektor Teatru Snów. Chłopiec z deszczu za mało sugestywny w I akcie, dopiero w akcie III znalazł odpowiedni wyraz. Autor z fajką nie potrafił „wygrać milczenia".

Omawiając postać Dyrektora „Małego Zwierciadła" ośmielę się użyć wyrazu „kreacja". Postać ta tak w ujęciu reżyserskim, jak i w interpretacji aktorskiej była przemyślana i wykończona i stanowiła głęboko przeżytą całość. Doskonale oddane zmiany, nie tylko zewnętrznego, ale i wewnętrznego wyrazu spowodowane przeżyciami między aktem I i III uzasadniały przeobrażenia psychiczne, katharsis wielkiego artysty.

Pozostali mieścili się w koncepcji reżyserskiej.

Plastycy chcąc nadążyć za tą koncepcją skonstruowali do I aktu dekoracje, w której elementy realistyczne splatały się z symbolami. Stąd zapewne stylizowany deszcz za oknem, ginący w mroku fragment sceny z emblematami „Małego Zwierciadła" za ścianą gabinetu Dyrektora. Rozwiązanie to jednak nie przemawiało tak, jak oprawa do II i III aktu.

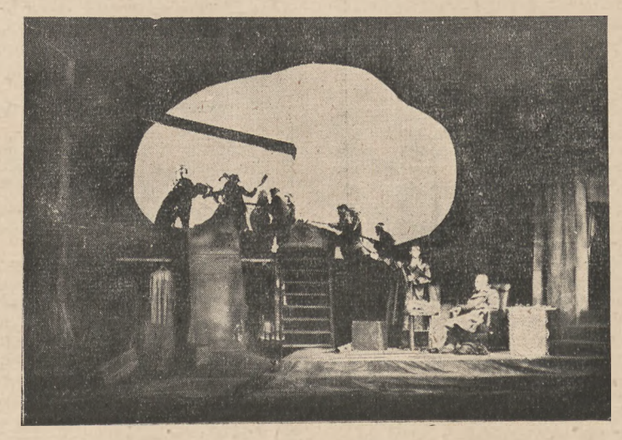

„Krucjata dziecięca".

Prof. Tadeusz Dobrowolski w rozważaniach „Co to jest piękno" pisze: „...Teatr jednoczy różne gatunki sztuk pięknych, wobec czego osiągnięcie w widowisku teatralnym pełnego efektu jednolitej struktury, bywa niezwykle rzadkie..."

Wrocławski spektakl „Dwu Teatrów", mimo drobnych usterek, które pozwoliłem sobie wytknąć, osiągnął „efekt jednolitej struktury".

Wojciech Dzieduszycki.

Dzieje pewnej legendy

(Dokończenie ze strony 1)

WALTER: Czy socjaliści i komuniści też w niej są?

LILL: Tak. Nie uznają żadnej różnicy, jak w obozie.

WALTER: A Centrum? A demokraci?

LILL: Są także. O przynależność partyjną nikt się nie pyta. jest tylko jedno pytanie: Czy dany człowiek nadaje się.

WALTER: Aha!

LILL: Widzi pan, w Berlinie żyje 4 miliony ludzi, z tego 3 miliony nie myślą, zostaje 1 milion. Z tego 900.000 boi się, podchlebia się, raduje się i zarabia, zostaje 100.000; z tego 90.000 ma zbyt wiele roboty lub też mówi, że lepiej być apolitycznym i że właściwie nie ma się okazji, zostaje 10.000. Z pośród nich 9.000 wybiło się, zostaje 1.000. Tysiąc zdecydowanych mężczyzn i kobiet w całym wielkim Berlinie, z tego 993 to ludzie mi nieznani, zostaje 7. I to jest nasza grupa. Jeśli zatem z 4 milionów ludzi jest nas siedmiu, wtedy będzie to dla pana miało pewną wymowę. Ale gdzieś w Berlinie muszą być jeszcze inni, o tym wiemy.

Rachunek jest w wielu szczegółach prawdziwy. Trudno, prawdy nie dało się ukryć. Ale ta siódemka bohaterska, w poezji swej przekonywująca, która dziś próbuje ratować przed hańbą owe 4 miliony, jest trzonem legendy politycznej, rosnącej z dnia na dzień, osiadającej już nawet na kartkach podręczników szkolnych. Dzieci w szkołach muszą się uczyć „Pieśni nielegalnych", ułożonej przez tego samego Weisenborna, hymnu konspiratorów niemieckich, nadawanego według legendy przez mikrofon „Waldemara I":

Ulotka idzie z rąk do rąk,
ulotka krąży krajem.
Ci co ją wymyślili,
odbili, nalepili,
ci żyli między wami.
Jesteśmy nielegalni,
słyszysz jak mielą młyny Boga!
Kto żłopie krew, zapłacić musi...
Jesteśmy nielegalni.
We wszystkich miastach słychać szepty,
tysięczne schadzki w szeptach płoną,
w nas godzi złość i wściekłość Volksgerichtu,
ale kto po nas sięga, sięga w nic.
Wiemy, że sięga po nas śmierć,
Gestapo grozi, Himmler patrzy!
Lecz jakaż u nas ufność wielka,
o, takiej Hitler nie posiada!

I tak legenda w niespełna półtora roku po zakończeniu wojny ma już swój skończony kształt. Stworzona przez literaturę, upowszechniana odtąd będzie przez publicystów i polityków. Od połowy r. 1946 powstało specjalne biuro w Berlinie, zajmujące się opracowywaniem historii niemieckiego ruchu oporu i zbieraniem materiałów do niej. Posłuchajmy raz jeszcze Weisenborna: „Porównanie z ruchem oporu Francji, Norwegii, Jugosławii i innych krajów pozwala stwierdzić następujące fakty: w każdym ze wspomnianych krajów Gestapo miało tylko parę lat czasu, w Niemczech całe 12 lat. W każdym ze wspomnianych krajów Gestapo stawało wobec nowych akt, ludzi, metod i języków, w Niemczech wszystkie te rzeczy znało dokładnie." To ma być usprawiedliwienie, że w porównaniu z innymi ruchami oporu niemiecki przedstawia się skromniej. Mniejsza o to, że autor przy żadnej okazji nie wspomina polskiego ruchu oporu a dwukrotnie stwierdza, że u narodów słowiańskich najlepiej rozbudowała się konspiracja w Jugosławii i Czechosłowacji — (może to być zła wola a może rzeczywiście nie umiemy reklamować naszego imponującego wkładu do dzieła niszczenia hitleryzmu a tym samym, idąc po myśli „demokratycznych" Niemców, do przywrócenia Niemcom wolności) — mniejsza także o to, że stale jednym tchem wymienia walkę i rolę niemieckiego ruchu oporu obok Résistance Francuzów czy innych narodowości, — niebezpieczne jest to, że każdy nowy artykuł, nowa publicystyka i nowy utwór literacki powiększają rolę i cenę legendy. Być może, że wkrótce wbrew faktom staniemy się świadkami wielkiej rehabilitacji Niemiec jako narodu. W zapomnienie pójdą typy z dramatu Friedricha Wolffa a pamiętać będziemy bohaterów „Nielegalnych". Powodzenie „Nielegalnych" na scenach niemieckich a zupełna prawie cisza wokół tego właśnie dramatu Wolffa przez cały rok 1946, — przerwaną jedynie krótkim montażem radiowym, wiele dały pod tym względem do myślenia.

Jest to akcja, której końca jeszcze nie widać. Zmierza ona do odbudowania zaufania w świecie, do równomiernego traktowania Niemców w rodzinie narodów walczących z hitleryzmem, do wzrostu własnego samopoczucia. Jest to równocześnie pierwsze konkretne osiągnięcie literatury Niemiec dzisiejszych, która staje się konsekwentnie literaturą polityczną w myśl maksymy Goethego, zapisanej przez Eckermanna. „Jeśli literatura ma służyć narodowi i prowadzić go drogami dobra i wielkości, musi się stać literaturą polityczną."

Wilhelm Szewczyk.

Tydzień Wrocławia

30. III. — 13. IV.

ŻYCIE MUZYCZNE

30. III. odbyły się w kościołach św. Doroty i św. Stanisława koncerty religijne z udziałem artystów Filharmonii Wrocławskiej. Dochód przeznaczono na odbudowę kościołów.

31. III. premierą Baletu Dolnośląskiego. W programie: „Wieszczka lalek" J. Beyera oraz „Divertissement" taneczne. Choreografia i reżyseria Zygmunta Patkowskiego, dyryguje Stefan Syryłło, oprawa artystyczna Stefan Drabik.

ŻYCIE TEATRALNE

7. IV. Otwarcie „Teatru Wesołego Autoramentu" w dawnym lokalu „Teatru Lalki i Aktora". Dyrekcję objął Zenon Kalinowicz, kierownictwo artystyczne Jerzy Walden, kierownictwo literackie Mieczysław Kofta. Jako inaugurację wystawiono rewię p. t. „Miłe złego początek" z tekstami Jerzego Jurandota, Józefa Prutkowskiego i in. w wykonaniu artystów Teatru Wrocławskiego z Janem Kurnakowiczem na czele. W najbliższym czasie teatr zamierza wystawiać sztuki jednolite — lekkie komedie i farsy, jednoaktówki, komedie muzyczne itp.

ŻYCIE NAUKOWE

1. IV. 25 posiedzenie naukowe Towarzystwa Lekarskiego we Wrocławiu z referatami dr A. Tuszkiewicz, dr Ireny Szyszkiewicz oraz dr Feliksa Milgroma.

INNE WYDARZENIA

30. III. Na zakończenie międzynarodowego tygodnia solidarności b. więźniów politycznych odbyła się w Teatrze Miejskim uroczysta akademia. W części koncertowej udział brali artyści Opery i Filharmonii Wrocławskiej.

30. III. odbył się zjazd Okręgu Dolnośląskiego Związku Harcerstwa Polskiego, zagajony przez prezesa Olbromskiego. Centralnym punktem zjazdu był referat sędziego Poliszewskiego p. t. „Zadania harcerstwa" oraz dyskusja nad aktualnymi zagadnieniami poruszonymi w referacie.

13. IV. — 20. IV.

ŻYCIE MUZYCZNE

19. IV. XI koncert symfoniczny Filharmonii Wrocławskiej pod dyrekcją Witolda Krzemińskiego z udziałem Ireny Lewińskiej (śpiew). W programie: uwertura do opery „Rusłan i Ludmiła" Glinki, pieśni Mieczysława Karłowicza i „Pieśni kurpiowskie" Karola Szymanowskiego oraz V Symfonia Beethovena.

ŻYCIE LITERACKIE

17. IV. 50 Czwartek Literacki Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego. Słowo wstępne z okazji 50 „czwartku" wrocławskiego wygłosił prof. dr Tadeusz Mikulski. W ramach akcji Tygodnia Ziem Zachodnich krótkie przemówienie o dorobku kulturalnym tych terenów wygłosił mgr. Marian Smereka. Centralną część programu stanowił odczyt Prorektora Uniwersytetu we Wrocławiu, dra Jerzego Kowalskiego p. t. „Pindar, poeta sportu i festynów".

ŻYCIE TEATRALNE

20. IV. Teatr Popularny po dłuższej przerwie spowodowanej przebudową lokalu i reorganizacją zespołu, wznawia swą działalność, wystawiając jako premierę operetkę Abrahama „Wiktoria i jej huzar". Dyrekcja teatru spoczywa w rękach Aleksandra Fogla, kierownictwo artystyczne — Henryk Barwiński.

ŻYCIE NAUKOWE

18. IV. 32 posiedzenie naukowe Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Matematycznego z referatami M. Nosarzewskiej i M. Warmusa.

INNE WYDARZENIA

13. IV. odbyła się w sali Teatru Miejskiego inauguracyjna akademia Tygodnia Ziem Zachodnich. Przemawiali: wicepremier Antoni Korzycki, prezydent m. Wrocławia Kupczyński oraz kierownik Okręgu Dolnośląskiego P. Z. Z. mgr. Wierzbicki. W części artystycznej udział brała orkiestra Filharmonii Wrocławskiej oraz artyści Opery.

17. IV. w Klubie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej odbył się odczyt dr Zofii Lissa p. t. „30 lat muzyki radzieckiej". Ilustracja muzyczna — prof. F. Markiewicz (fortepian) oraz W. Jędrzejewska (śpiew).

18. IV. celem uczczenia 4 rocznicy walk w getcie warszawskim, odbyła się w sali Teatru Miejskiego uroczysta akademia zorganizowana przez Związek Uczestników Walki Zbrojnej o Wolność i Demokrację.

J. STANISŁAWSKI

SŁOWNIK

polsko-angielski
angielsko-polski

pełne wydanie w oprawie

Cena 980 zł

Spółdzielnia Wydawnicza

»WIEDZA«

Do nabycia
we wszystkich księgarniach

Wśród czasopism

Śląsk posiada dwa kwartalniki o charakterze reprezentacyjnym dla jego życia kulturalnego. Są to ZESZYTY WROCŁAWSKIE I ZARANIE ŚLĄSKIE. Z radością należy zanotować, że grono to powiększyło się jeszcze o jedno poważne pismo. Jest nim organ Towarzystwa Historycznego we Wrocławiu, półrocznik SOBÓTKA, wychodzący pod redakcją dra A. Knota i oparty o środowisko uniwersyteckie we Wrocławiu. Równocześnie z przykrością komunikuję, że pismo to jeszcze do nas nie dotarło i wzajemnie trudno jest dotrzeć do niego. Żeby dopełnić kompletu wyrazić trzeba zaniepokojenie co do losów miesięcznika ŚLĄSK, który od pięciu miesięcy nie daje znaku życia nie spełniając zapowiedzi redakcji z ostatniego numeru, że będzie wychodził regularnie w połowie każdego miesiąca.

ZESZYTY WROCŁAWSKIE wystąpiły ostatnio z drugim zeszytem kwartalnym. Świadczy to, że redakcja ma zamiar trzymać się terminów i umie sobie pod tym względem dać radę z trudnościami, które przy tego typu wydawnictwie są obecnie wcale duże. Zeszyt ten pogłębia sympatię dla pisma, jaką obudził już zeszyt pierwszy, — tym cenniejszy, że stał się pobudką do pięknego artykułu Marii Dąbrowskiej o Wrocławiu *(Miasto i pismo, Nowiny Literackie nr 1)*. Wrocław i jego środowisko literackie mogą być dumni z tego pisma, które dalekie od ciasnego regionalizmu (z innej strony też jeszcze w swoistych formach potrzebnego) reprezentuje kulturę ogólnonarodową po przez nowy jej ośrodek zakotwiczony w gruzach straszliwe zniszczonego największego miasta odzyskanego Zachodu. Rozumiem genezę artykułu Dąbrowskiej niezależnie od jej osobistych wspomnień młodości. Każdy kto widział Wrocław dzisiejszy, kto poznał jego ludzi, bierze *Zeszyty Wrocławskie* do ręki ze wzruszeniem. Jest to najbardziej pozytywny, najbardziej twórczy przejaw wielkiego dzieła kulturalnej odbudowy odzyskanego Śląska, znak, że kultura polska stanęła tam już mocną stopą. Naturalnie powiedzmy dla ścisłości — jeden z przejawów, ale jakże cenny dla każdego z nas, dla których te problemy stały się w pewnym stopniu problemami życiowymi, jakże płodny na przyszłość.

Zeszyty Wrocławskie są kwartalnikiem krytyczno-literackim, a więc pismem w typie *Twórczości*. Krakowski miesięcznik już się ustabilizował, już określił swój zasięg i zdobył pozycję. Daje materiał bogaty, różnorodny, ma liczne grono współpracowników, obejmuje wiele dziedzin zagadnień literatury i sztuki. *Listy Wrocławskie* są dopiero na dorobku. A dorobek to może być piękny, bo mają ambicję i idą naprzód. Konkurencji dla *Twórczości* nie stworzą, ale stanowić będą jej doskonały odpowiednik jako wyraz tendencji rozwojowych nowego ogniska kulturalnego. Pismo tworzą reprezentanci tego ogniska i ludzie, którzy z nimi bliżej współpracują. Każde nazwisko, które tu znajdujemy, w ten czy inny sposób ma swoje bliższe powiązanie z Wrocławiem i jego życiem kulturalnym. Najsłabsze z tych powiązań to przynajmniej udział w Czwartkach Literackich Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego, wydawcy czasopisma.

Drugi *Zeszyt Wrocławski* otwiera essay *Jerzego Kowalskiego „Człowiek"*, noszący cechy pióra głębokiego i mądrego humanisty, pełen świetnych sformułowań, niezwykle zabawnych i trafnych paradoksów. *Prof. Julian Krzyżanowski* w szkicu *„O dwu obrazach słownych"* porusza interesujące zagadnienia stylistyczne z zakresu związków i różnic pomiędzy mową artystyczną a mową pospolitą na przykładach metonimii i parafrazy, domagając się od stylistyków ścisłości terminologicznej i nie zaliczania badań stylistycznych do teorii literatury. *Tadeusz Mikulski* kontynuuje swój cykl „spotkań wrocławskich" relacją o wrocławskich etapach tułaczki Teofila Lenartowicza. Z tego cyklu zarysowuje się już piękna i obszerna książka, która będzie mieć bez wątpienia duże walory literackie. Prof. Mikulski jest w swojej prozie artystą, ma swój własny, indywidualny styl, który w książkowej całości może zdradzać cechy pewnej maniery, lecz jest rezultatem świadomej pracy artystycznej. Szczególnie bogato przedstawia się ten numer *Zeszytów Wrocławskich* pod względem prozy oryginalnej, którą reprezentują aż trzy opowiadania: *Wojciecha Żukrowskiego „Koła"*, *Tad. Borowskiego „Chłopiec z Biblią"* i *Anny Kowalskiej „Czerwone rękawiczki"*. Opowiadanie Żukrowskiego tematycznie i formalnie należy całkowicie do tomu „Z kraju milczenia".

Krótka opowieść Borowskiego z warszawskiego więzienia interesuje przede wszystkim precyzyjnością literackiej roboty i sposobem opowiadania, w którym powraca ten sam motyw charakterystyczny przy tych samych postaciach występujących w kolejno rozwijających się sytuacjach. Opowiadanie Anny Kowalskiej jest już „powojenne" i porusza problem zwany pospolicie upowszechnianiem kultury. Rzecz dzieje się na wsi, we dworze, gdzie spotykają się dwa światy: literaci, którym oddano na stały użytek piętro dworu, i chłopi, którzy mają organizować swoje życie kulturalne na parterze. Są to światy najzupełniej sobie obce, nawet udana próba nawiązania łączności pomiędzy nimi przez żonę jednego z pisarzy na dłuższą metę zawodzi, rozbijając się o nieprzezwyciężalne uprzedzenia i urazy jednej i drugiej strony. Wówczas w próżni zawisa dziewczyna wiejska, która już stała się ogniwem wiążącym obydwie grupy. Jej miejsce zajmuje niewielkie rokująca w tej pracy nadzieje nauczycielka. — W numerze tym rozszerzono znacznie kronikę kulturalną Wrocławia, dając charakterystyki życia literackiego (które, jak pisze T. Mikulski powstaje tam „z niczego"), życia plastyków, pracy teatru i filharmonii oraz rejestrując wyniki badań archeologicznych na Ostrowie Tumskim. Na szczególne podkreślenie zasługuje zapoczątkowany dział recenzji literackich, w którym omówione zostały książki najnowsze Lechonia, Nałkowskiej, Kwiatkowskiego, Zawieyskiego, Wł. Rymkiewicza i Brandysa oraz „Lista strat kultury polskiej" Olszewicza. Pismo przez ten dział obsłużony przede wszystkim piórami Jerzego Kowalskiego i T. Mikulskiego zyskuje bardzo wiele.

Z kilkumiesięcznym opóźnieniem wyszedł podwójny (3-4) zeszyt ZARANIA ŚLĄSKIEGO za rok 1946. Pismo ma inny niż Zeszyty Wrocławskie charakter. Jest ściśle regionalne, stanowi kwartalnik o przede wszystkim kulturalnych ale szerokich w tym zakresie zainteresowaniach. Typ pisma popularno-naukowy. Przeplata się w nim historia z literaturą i w tym charakterze utrzymany jest wyraźnie omawiany zeszyt. Z materiałów historycznych czytamy na wstępie zarys dziejów miasta Brzega *Józefa Skoczka*. Tutaj spotyka nas od razu przykra niespodzianka: autor pominął zupełnie rolę Brzegu jako ośrodka luteranów polskich, jako ogniska piśmiennictwa polsko-protestanckiego, jako miasta, z którego wyszło tyle druków polskich. Tę rolę odgrywał Brzeg jeszcze w XVIII w. a autor zachwyca się np., że w katolickich kościołach w Brzegu jeszcze w r. 1590 odbywają się kazania w języku polskim. *Kazimierz Popiołek* porusza konieczność uratowania i zgromadzenia materiałów do historii powstań górnośląskich, natomiast *Alojzy Targ* omawia potrzebę dokumentacji okresu okupacyjnego na Śląsku. O stosunku Śląska do rewolucji krakowskiej 1846 r. pisze *Marian Tyrowicz*. Fragment z dziejów ruchu narodowego na Śląsku w początkach XX w. daje w szkicu o ugodowej organizacji „Straż" *Alfred Kucner*. Dział literacki zawiera prace: *prof. Romana Pollaka „Różdzieńsciana"*, *Stanisława Kolbuszewskiego „Z hagiografii Śląska"*, *Bronisławy Heczko-Muszyny „Nieznane korespondencje śląskie Jana Kasprowicza"* oraz wiersze *Wilhelma Szewczyka „Geneza poezji"*. Ponadto *Tadeusz Mikulski* publikuje tekst książeczki pastora Hermana Koellinga z r. 1887 *„Prośliccy"* z obszernym i cennym komentarzem wstępnym. Zeszyt uzupełniają prace Stanisława Bąka o badaczach dialektów śląskich przed Lucjanem Malinowskim, szkic Z. Hierowskiego o rozwoju uświadomienia narodowego u pisarzy górnośląskich oraz dwa artykuły gospodarcze, mianowicie charakterystyka rozwoju gospodarczego okręgu Gliwice — Zabrze — Bytom w latach 1921—1939 i pierwsze osiągnięcia gospodarki polskiej w powiecie trzebnickim. Ozdobą zeszytu stanowią reprodukcje w liczbie 15 na kredowych wkładkach, mające za temat zabytki wrocławskie. W sumie zeszyt ciekawy, dobrze zamykający skromny rocznik 1946, przynoszący materiał nie obojętny, godny poznania.

(ki)

DWA PROCESY

Obok: Tak pod piórem rysownika wygląda proces denazyfikacyjny w dzisiejszych Niemczech. Butny oskarżony, uroczysty obrońca, przerażony oskarżyciel, zmieszany trybunał. U góry: Proces „dedemokratyzacyjny" w r. 1960. Tak będzie sądzony według fantazji rysownika współczesny demokrata niemiecki za lat dziesięć.

Krótkie spięcia

Hanusz, moja Hanusz...

Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz wydał w Łodzi nakładem Spółki Wydawniczej St. Jamiołkowski i T. J. Evert, Sp. z o. o., książkę pt. „Dziennikarstwo", przy czym zastrzegł sobie do niej wszelkie prawa sakramentalnym i groźnie brzmiącym: „Printed in Poland 1947, Copyright by T. Z. Hanusz".

Niewątpliwie uczynił to zupełnie słusznie, gdyż mogłaby zaistnieć obawa, że dzieło to z uwagi na swe wartości, zostanie splagiowane tak w kraju jak i zagranicą. Zwłaszcza zaś — jak przekonamy się dalej — za granicą.

Nazwisko Redaktora Magistra Tadeusza Zbigniewa Hanusza nie jest wprawdzie zbyt znane szerokim rzeszom czytelników prasy codziennej czy periodycznej, nie wyklucza to jednak możliwości, że może być ono jeszcze kiedyś więcej niż sławne, a to z tego względu, iż autor w swej książce w sposób niezwykle — powiedzmy — oryginalny, omawia zagadnienie dziennikarstwa, jako takiego i jako nie takiego.

Całość na pierwszy rzut oka robi wrażenie rodzaju podręcznika dla adeptów dziennikarstwa, podręcznika zresztą bardzo skromnego i prymitywnego (w niejednej encyklopedii znajduje się na ten temat więcej szczegółów), ale przy bliższym poznaniu okazuje się, że chodzi tu raczej nie tyle o podręcznik, co o coś, co ma charakter wzajemno-adoracyjny. To znaczy, że Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz jest tam odmieniany na wszystkie przypadki, oraz że tak samo jest odmieniane „Studium Dziennikarsko-Publicystyczne" w Łodzi, gdzie autor jest wykładowcą. I to do tego stopnia jest to Studium odmieniane, że w rozdziale „Szkolnictwo Dziennikarskie" Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz podaje jako jedyną szkołę dziennikarską w Polsce właśnie to Studium, tak jakby nie istniała np. w Warszawie Wyższa Szkoła Dziennikarska.

Jednym słowem „Dziennikarstwo" Redaktora Magistra Tadeusza Zbigniewa Hanusza jest rzeczą dosyć sobie figlarną.

Oczywiście, że nie na tym zaczynają się i kończą jej figle. Figle te, a raczej figle-migle, dotyczą głównie ocen i sądów, wygłaszanych z podziwu godną ex-katedralnością.

I tak np. w rozdziale „Zarys historyczny dziennikarstwa i prasy" jest mowa o prasie przedwojennej. Wymienia się więc tam w pierwszym rzędzie pisma sanacyjne z „Czerwoniakami" i osławionym „Ikacem" na czele i to jeszcze z takim dodatkiem: „IKC był znakomicie redagowanym pismem informacyjnym" — wylicza się „Światowidy" i „Kina" jako przykłady porównawcze z prasą zagraniczną, a np. o prasie śląskiej zachowuje się zupełne milczenie, jak również o olbrzymiej większości prasy opozycyjnej. Naturalnie Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz może sobie wymieniać, co mu się żywnie podoba, ale jeśli twierdzi, że jego dziełko jest podręcznikiem, to musi wtedy wymieniać albo wszystkie tytuły pism, albo żadnego.

Z kolei w rozdziale „Dziennikarstwo Współczesne" zajmuje się on współczesną prasą zagraniczną, ale tak, jakby zupełnie wojny nie było i rzecz działa się gdzieś 10, czy więcej lat temu. A więc mówiąc o prasie francuskiej wymienia rozmaite „Petit Parisien'y", „Paris Soir'y", „Le Matin'y" itd., itd., z dziwną nonszalancją nie wspominając o tym, że wszystkie te co do jednego dzienniki nie tylko że obecnie od dawna we Francji nie wychodzą, ale w ogóle nie mogą wychodzić, nawet gdyby chciały, a to ze względu na kollaborację z Niemcami. Przy tej sposobności p. Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz wymienia wśród wybitnych współczesnych dziennikarzy Charles Maurrasa, skazanego na dożywotnie więzienie za kollaborację, nieżyjącego już od dość dawna André Tardieu, a oprócz tego robi niesamowite byki przy cytowaniu nazwisk i nazw, jak np. „Clemanceau" zamiast Clemenceau, „Leon London", zamiast Geo London, „Julius Saurwein", zamiast Sauerwein, „L'Quest Eclair", zamiast „L'Ouest Eclair", „La Depeche de Toulouze", zamiast „La Depeche de Toulause", „La Petit Gironde", zamiast „La Petite Gironde" itdp.

Z prasą angielską jest ta sama mniej więcej historia. Opis przedwojennych stosunków, podawanie przedwojennych tytułów pism, prawdopodobnie w mniemaniu, że w konserwatywnej Anglii nic się przez 10 czy więcej lat nie zmieniło i jakby tam nie powstały nowe pisma i nie pozmieniały się nakłady, właściciele, nie poumierali znani dziennikarze, jak Wickham Steed, podany za żyjącego, itd. To samo dotyczy prasy sowieckiej (z tym, że nie wiadomo po co autor wymienia jeszcze prasę carską sprzed rewolucji) — a już szczytem wszystkiego jest rozdział o współczesnej prasie niemieckiej, czyli o — przedhitlerowskiej i hitlerowskiej. Wynikało by z tego, że to dzisiaj mogłoby szalenie kogoś obchodzić, jaki nakład i ile wydań miał „Völkischer Beobachter" albo że „Berliner Tageblatt" posiadał „międzynarodowy zasięg".

Poza tym jest jeszcze króciutko mowa o prasie czeskiej, również przedwojennej, zaś o prasie włoskiej tylko tyle, że „czytelnik włoski jest przyzwyczajony do kilku wydań dziennika", tak jakby czytelnik francuski, hiszpański czy argentyński nie był też przyzwyczajony do kilku wydań dzienników.

Oprócz tego do prasy amerykańskiej Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz wsadził angielskie pismo „Daily Mirror", z „Daily News" zrobił „Daly News", a z miasta Kansas — Cansas, przy czym naturalnie też zajął się czasami i stosunkami przedwojennymi, pisząc o nich jako o obecnych.

Rozdział „Organizacja i technika dziennika" zajmuje się organizacją i techniką dziennika, w którym p. Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz pracował lub pracuje. To znaczy, że nie uwzględnia on powszechnie znanego faktu, iż każdy prawie dziennik ma swoją odrębną organizację i technikę i że nie można wszystkim pismom w Polsce przypisywać takich szczegółów, jak to że artykuł wstępny mieści się na pierwszej stronie, że potem kolejno idą informacje, kronika bieżąca, wiadomości gospodarcze, dział artystyczno-literacki, sport, film (!), i tzw. „rozmaitości", gdyż to jest rzecz zależna od indywidualnego charakteru dziennika. Tak samo nie można wypisywać tego rodzaju komicznych zdań, że: „Praca w redakcjach dzienników porannych zaczyna się o godzinie 17 sesją redakcyjną" oraz opisywanie, co robi redaktor opatrzony takim czy innym tytułem, gdyż to są rzeczy traktowane w każdej redakcji inaczej. Innymi słowy Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz z przedziwną pewnością siebie dowodzi, i to w formie podręcznikowej, że to, co on na własne oczy widział w jednej jakiejś gazecie, jest miarodajne dla wszystkich pism nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

Prócz tego zastrzeżenia nasze odnoszą się także do twierdzenia Red. Magistra Tadeusza Zbigniewa Hanusza, jakoby linotyp wynaleziono dopiero 25 lat temu, dalej do używania przez autora ohydnego słowa „Satz", następnie do twierdzenia, że ogłoszenia drobne na całym świecie liczą się za słowo, gdyż w wielu krajach liczą się one od wiersza, potem do oświadczenia, że: „Każdy temat musi być rozpracowany w trzech zasadniczych częściach — z wstępu, punktu kulminacyjnego i zakończenia" (Rozdz. „Jak należy pisać"), gdyż po pierwsze to nie jest po polsku, a powtóre każdy temat można „rozpracowywać" na 1278 i jeszcze kilka innych sposobów. Poza tym nie zgadzamy się ze zdaniem, że „Artykuł wstępny jest specjalnością utalentowanych i rasowych dziennikarzy-publicystów", gdyż często gęsto piszą takie artykuły najmniej utalentowani faceci, oraz z twierdzeniem, że przedwojenny „P. A. T. był zorganizowany bardzo dobrze i w niczym nie ustępował długoletnim agencjom z tradycją, jak Havas i Reuter", ponieważ PAT ten jako urzędówka stojąca wyłącznie na usługach reżimu, stanowił najczęstszy temat humorystycznych i złośliwych felietonów w naszej prasie. To samo dotyczy zdania, że: „dla korespondenta zagranicznego znajomości z osobami wybitnymi w danym państwie są nieodzowne", jako że bardzo dużo świetnych korespondentów zagranicznych bez tych znajomości się obywało i doskonale na tym wychodziło.

Prawdziwe jednak curiosum w książce Redaktora Magistra Tadeusza Zbigniewa Hanusza stanowi rozdział pt. „Wielcy Dziennikarze Polscy". Zaczyna on tam naprzód od przedwojennych osobistości i na pierwszym planie stawia m. in. Mariana Dąbrowskiego (!), wydawcę „Ikaca", potem szereg innych wydawców oraz działaczy politycznych przeważnie sanacyjnych, wreszcie literatów sensu stricto, którzy z prawdziwym dziennikarstwem mieli tyle wspólnego, że tam czasami zamieszczali swoje publikacje (mieści się w owym towarzystwie również słynna Maria Jehanne Wielopolska), a potem wymienia nazwiska „znakomitych dzisiejszych dziennikarzy, których śladami kandydaci na dziennikarzy pójść powinni".

Oczywiście jest tam kilka znakomitości, ale olbrzymią większość tworzą raczej dobrzy znajomi Redaktora Magistra Tadeusza Zbigniewa Hanusza i to przeważnie z łódzkiego i warszawskiego podwórka. A więc jest tam niemal cały skład redakcji „Dziennika Łódzkiego", „Głosu Robotniczego", „Kuriera Popularnego", „Polski Zbrojnej", dalej tak na chybił trafił po jednym lub dwóch redaktorów z poszczególnych pism warszawskich, z pominięciem jednak naprawdę wybitnych dziennikarzy stołecznych, potem masa panów i pań z PAP-a, już naprawdę bardzo mało znanych, wreszcie wymienieni są prawie wszyscy członkowie redakcji „Przekroju" i „Tygodnika Powszechnego", ci ostatni zaś, jak wiadomo, znani jako publicyści i literaci, a nie jako dziennikarze. Słówka natomiast nie ma znowu ani o prasie śląskiej, gdzie m. in. wychodzą dwa największe pisma w Polsce, słówka nie ma o prasie wielkopolskiej, nadbałtyckiej, prasie z Ziem Odzyskanych i z innych stron Polski — jednym słowem Redaktor Magister Tadeusz Zbigniew Hanusz urządził sobie w tym spisie jakiś gabinet przez siebie tylko uznanych i zakwalifikowanych wielkości (wielkości przeważnie mniej lub bardziej nadających się do umieszczenia w cudzysłowie), a nawet można powiedzieć, że urządził gabinet osobliwości.

Rzecz prosta, że tworzenie takiej widzimisiowskiej listy jest w ogóle nonsensem i nikogo z pominiętych brak jego w niej nazwiska nie będzie ani ziębił ani parzył, chodzi tylko o to, że „Dziennikarstwo" Redaktora Magistra Tadeusza Zbigniewa Hanusza może być rzeczywiście uznane przez jakiegoś nieuświadomionego czytelnika za alfę i omegę znawstwa tego przedmiotu i wobec powyższego wywołać bardzo poważne nieporozumienia w umyśle tegoż czytelnika.

Dlatego też przed „Dziennikarstwem" Redaktora Magistra Tadeusza Zbigniewa Hanusza kogo należy ostrzegamy.

Niejaki **X.**

Wstępne prace nad Wystawą Wrocławską

Otwarcie Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, projektowane pierwotnie na 15 lipca br., zostało przesunięte decyzją centralnych czynników rządowych z roku bieżącego na rok 1948. Mianowany ostatnio dyrektor Wystawy, ob. Ołdziejowski, rozpoczął wstępne prace przygotowawcze we Wrocławiu, Polski Związek Zachodni w Poznaniu wykańcza prace historyczno-naukowe nad Wystawą Historyczną p. n. „Tysiąc lat zmagań polsko-niemieckich".

We Wrocławiu utworzył się z inicjatywy Prezydium Miasta Miejski Komitet dla spraw Wystawy Wrocławskiej 1948, mający za zadanie skoordynowanie całokształtu prac miejskich, związanych z Wystawą 1948 r. Przewodniczącym Komitetu jest prezydent miasta Kupczyński, urzędującym zastępcą przewodniczącego, będącym równocześnie stałym łącznikiem między komitetem a dyrekcją Wystawy — jest wiceprezydent Podgórski.

Niezależnie od mającej się odbyć w roku 1948 Wystawy Ziem Odzyskanych — Miejskie Władze Samorządowe we Wrocławiu w porozumieniu z samorządem gospodarczym podjęły inicjatywę zorganizowania Towarzystwa Wystaw i Targów, mającego za zadanie prowadzenie całokształtu spraw wystawowo-targowych na terenie Dolnego Śląska — w pierwszym rzędzie na terenach byłych niemieckich Targów Wrocławskich. Z ramienia Zarządu Miasta przy pracach organizacyjnych czynny będzie wiceprezydent St. Podgórski.

już wyszła z druku książka

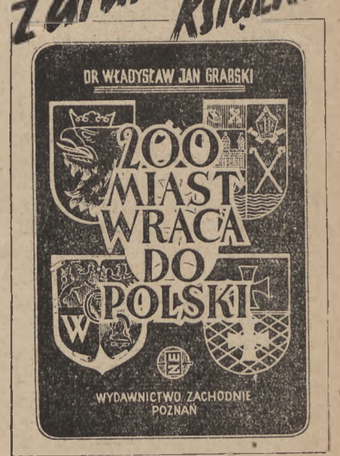

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 30128